Rok XVI. Nr. 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał II.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1910.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1910 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Z Ameryki północnej.

List ks. Mazurkiewicza do ks. Wizytatora.

New Haven, dnia 3. grudnia 1909.

Miło mi podzielić się z Przewielebnym Księdzem Wizytatorem wiadomościami z Ameryki północnej. W ostatnim czasie dawaliśmy dwie misye: jedną w South River, drugą w Shamokin.

South River. — Na misyę do South River pojechaliśmy w trójkę t. j. ks. Trawniczek, ks. Kołodziej i ja.

Misya zaczęła się 22. września i trwała do 6. października.

Pojechałem najpierw do Filadelfii, by razem z ks. Trawniczkiem udać się na miejsce pracy. Ks. Kołodziej przyjechał krótko przed rozpoczęciem misyi wprost do South River, gdyż wypadł mu nadzwyczajny pogrzeb w Bridgeport'cie, gdzie zastępował proboszcza słowackiego, ks. Jankolę. Owym nieboszczykiem był chłopak słowacki; jadąc na rowerze tak nieszczęśliwie zderzył się z drugim amatorem tego sportu, że wkrótce od pokaleczenia umarł.

Polacy w South River należeli z początku do parafii irlandzkiej w Sayerville. W r. 1903 biskup Mc Faul z Trenton pozwolił im założyć własną parafię. W niedzielę 17 stycznia r. 1903 o godz. 8. rano, odbyło się pierwsze nabożeństwo polskie w South River. Odprawił je ks. Benkowicz. Pierwszym proboszczem był tu ks. Franciszek Ręgorowicz, za którego 15. listopada 1903 r. położono kamień węgielny pod kościół, a 2. września 1907 r. poświęcono kamień węgielny pod osobną świątynię Pańską. Kościół tutejszy

ładnie się przedstawia. Budował go Polak p. Lisowski, ten sam, co ks. Koniecznemu budował kościół w Conshohocken. Poświęcony jest pod opieką Matki Boskiej Ostrobramskiej. Parafię tę tworzą dwie osady: South River i Sayreville, liczące przeszło 300 rodzin. Teraźniejszy proboszcz ks. Jan Supiński kierował budową kościoła. Jest on ogólnie lubiany przez swoich parafian, i nas ujął swoją serdecznością, szczerością i iście staropolską gościnnością. Plebania jego dość szczupła, przygotował więc dla nas mieszkanie w szkole pod kościołem. Kazał usunąć ławki, wstawić trzy łóżka i umywalnię — ot i sypialnia była gotowa. Mieliśmy tę wygodę, że prosto ze zakrystyi schodziło się do kwatery.

W South River znajdują się wielkie pokłady gliny, stąd powstało tu dużo cegielni, przy których Polacy pracują. Niektórzy Polacy są fachowymi robotnikami i zarabiają dobre pieniądze. Robota najlepiej idzie na wiosnę i w lecie, a w zimie prawie całkiem ustaje. To też na wiosnę ściągają tu całe falangi naszych rodaków. Niewiasty i dziewczęta pracują tu w fabryce chustek. Właściciel fabryki, dobry katolik, nie pozwala w święta pracować. Mężczyźni liczebnie przewyższają niewiasty, wzięliśmy ich też na pierwszy ogień. Chodzili wiernie na nauki i ze skupieniem słuchali słowa Bożego.

W konfesyonale mieliśmy z nimi pracę ciężką. Gładko idą spowiedzi ludzi stale mieszkających w miejscu, ludzi, którzy regularnie chodzą do kościoła, ludzi wyrobionych i pouczonych w rzeczach wiary, lecz tu w South River roiło się od przybłędów z różnych stron świata, co do żadnej parafii nie należą, lub mieszkali w okolicach, gdzie kościoła nie było, w rzeczach wiary ciemni, do tańca i szklanki prędcy a do różańca leniwi. Pochwytali to i owo z naszych kazań, trzeba było jednak dopomagać im na spowiedzi. Słuchaliśmy ich codzień do 11. godz. wieczorem. Z pomocą dojeżdżali księża z sąsiednich osad: Ks. Ks. Zieliński i Klijanowicz z Perth Amboy, ks. Urban z South Amboy, ks. Pawłowski z New-Brunswick, także raz z dalszych stron pomagali: ks.

Wierzyński z Chester i ks. Gulcz z Wilmington. Kapłani zacni, pełni ducha Bożego i poświęcenia dla naszego ludu.

Wyspowiadaliśmy około 1300 mężczyzn.

Łatwiej poszła nam serya żeńska. Wyspowiadaliśmy niewiast i dziewcząt około 800. Przez całą misyę codzień o godz. 5 rano jeden z Misyonarzy odprawiał dla nich mszę św. i rozdzielał komunię św. O godz. 9 rano była suma z kazaniem; po obiedzie o godz. 3 odprawialiśmy drogę krzyżową. tłumaczyliśmy odpusty, święciliśmy rzeczy misyjne i przyjmowaliśmy do szkaplerza. Prawie wszystkim włożyliśmy medaliki cudowne, także wodę św. Wincentego dwa razy trzeba było święcić. Wieczorem o wpół do 8. odmawialiśmy różaniec, a po różańcu kazanie i modlitwy wieczorne. Dnia 2. października oddaliśmy duszpasterza i całą parafię pod opiekę N. P. Maryi. Ołtarz Matki Boskiej przystroiły Dzieci Maryi bogato w kwiaty i świece. Procesya uroczysta zakończyła tę śliczną ceremonię.

W samo święto różańcowe przybył do parafii Najprz. ks. Biskup Mc Faul, by udzielić Sakramentu Bierzmowania około 400 ludziom. Na spotkanie jego wyszły z muzyką i chorągwiami bractwa kościelne, towarzystwa wojskowe w mundurach, Dzieci Maryi w bieli i dziatwa szkolna. W środku pochodu jechał w automobilu ks. Biskup mile uśmiechnięty, błogosławiąc na wszystkie strony.

Kościół wypełnił się ludźmi po brzegi tak, że wielu stać musiało na dworze. Przed bierzmowaniem przemówił Biskup do naszych ludzi po angielsku, wyrażając swą radość. że przebywa między Polakami, zawsze wiernymi wierze katolickiej. Ostrzegał ich przed niebezpieczeństwami. jakie grożą w Ameryce, zachęcał do życia chrześcijańskiego, do spełniania przykazań Bożych i Kościoła. Słowa jego powtórzyłem ludziom po polsku. Biskup choć już w latach, jednak pełen siły i energii.

Wieczorem zachęciliśmy ludzi do bractwa różańcowego. zebrało się jakie 25 róż. We wtorek postawiliśmy krzyż misyjny.

Odprawiwszy w środę nabożeństwo żałobne za zmarłych parafian, podążyliśmy każdy na swój posterunek: ks. Trawniczek do Filadelfii, ks. Kołodziej do Derby, ja do New Haven.

Misya w Shamokin. — Cięższa misya czekała na nas w Shamokin w Pensylvanii u O. O. Franciszkanów. Osada polska w Shamokin jest jedną z najstarszych osad polskich w Ameryce, bo datuje się od r. 1862. Parafia tutejsza założona r. 1870. Jest to więc najstarsza parafia polska w całej Pensylvanii.

Znajdują się tu wielkie kopalnie węgla i fabryki, dlatego też wcześnie zaczęli tu Polacy z rozmaitych dzielnic Polski ściągać. Dorobiwszy się trochę grosza kupowali grunta i domy mieszkalne. W r. 1870 wybudowali własny kościół pod opieką św. Stanisława Kostki. Parafia liczyła wówczas jakie 300 rodzin. Założycielem jej był ks. Floryan Klonowski pracował tu aż do końca swego życia, t. j. 3. grudnia 1893, i tu pochowany został. Po nim objął rządy aż do roku 1896 ks. Machnikowski. W tym czasie wybudowano wielką szkołę i założono między górnikami towarzystwo św. Barbary. Po nim nastąpił ks. Dr. Misicki, lecz zrezygnował z parafii r. 1900, a po nim nastąpił ks. Kopytkiewicz.

Wreszcie w r. 1901 objęli parafię O. O. Franciszkanie. Proboszczem jest dzisiaj ks. Zygmunt Tomczykowski O. M. C. a do pomocy ks. Alfons Figlewski O. M. C. i ks. Broda, kapłan świecki. Jest to potężna parafia, liczy z górą 1000 familii. Do szkoły parafialnej uczęszcza około 800 dzieci. Uczą Siostry III. Zakonu św. Franciszka.

O. O. Franciszkanie odprawiają także nabożeństwa co niedzielę w drugim kościele polskim wybudowanym w dalszej dzielnicy osady Shamokin, zw. New-Town. O dwie mile od Shamokin jest miejscowość Excelsior, gdzie mieszka około 120 familii polskich. Potrzeby ich duchowne zaopatrują także O. O. Franciszkanie.

W r. 1904 odłączyła się część niezadowolonych od kościoła starego i założyła nową parafię oddając ją pod ju-

ryzdykcyę sławetnego biskupa Hodura. Tak więc od tego roku powstał tu kościół niezależny — narodowy — polski. Wielu z nich poznało się szybko na szopce i wróciło napowrót na łono Kościoła prawdziwego. Kilka wypadków nawróceń zaszło w czasie misyi. W uporze trwają tylko ci, co własnym kapitałem zaręczyli za kościół. Zbór niezależny w Shamokin byłby całkowicie upadł, gdyby nie tutejszy proboszcz ruski, który mając starą cerkiew na zbyciu niezależnym ją sprzedał. Kapłana swego nie mają; dojeżdża tylko co miesiąc jakiś „duchownik", tu zw. „pryczerem", bez żadnych święceń, by odprawić humbug w kościele i składki zebrać.

Szczególną uwagę zwracają tu Rusini swoją wspaniałą cerkwią z kopułami. Zaraz naprzeciwko wznosi się śliczny kościół św. Edwarda, dawniej niemiecki, dziś całkiem amerykański. Proboszczem przy nim jest ks. prałat Jan Koch, wikary generalny dyecezyi Harrisburg. Jakie 200 kroków od kościoła polskiego znajduje się kościół słowacki p. w. Wniebowzięcia N. P. Maryi. Litwini także mają tu swoją świątynię pod wezwaniem św. Michała.

Jednem słowem Shamokin robi wrażenie osady katolickiej — zwłaszcza w niedziele i święta, gdy dzwony wszystkich kościołów zwołują wiernych na nabożeństwo.

Okolica w Shamokin oryginalna. Góry i pagórki zalesione, a nie narzucono kamieni i piasku z kopalni. Co krok widać olbrzymie szyby kopalniane z kominami wyrzucającymi kłęby ciemnego dymu. Miasto rozbudowało się na tych górach, dlatego też niema prawie ulicy prostej, wszystkie krzywe, kręte i pochyłe. Przy wozach używają tu osobnych hamulców, które trąc się o koła niemiłą dla ucha sprawiają muzykę. W zimie łatwo można sobie tu kości połamać i znaleźć się w kilku sekundach na dole ulicy. Największą plagą dla parafii są karczmy, szumnie tu nazywane „hotelami".

W niektórych hotelach oprócz pijaństwa odbywają się w każdą sobotę tańce, na które dziewczęta i chłopaki tłu-

mnie się schodzą, by powoli stracić w tych jaskiniach zepsucia, cnotę i dobre imię.

Pojechaliśmy więc, t. j. ks. Głogowski, ks. Waszko i ja do Shamokin, by tu w sobotę 6. listopada misyę rozpocząć. Misya trwała do 21. listopada. Po misyi rozpoczęliśmy uroczyste 40-godzinne nabożeństwo ku czci Najśw. Sakramentu. Proboszcz, ks. Tomczykowski przyjął nas bardzo serdecznie i starał się wedle możności pobyt nam w Shamokin uprzyjemnić.

Pierwszy tydzień misyi przeznaczyliśmy dla niewiast i dziewcząt. Przedewszystkiem kładliśmy nacisk w naukach na tańce w hotelach. Matki musiały ślubować, że córkom nie pozwolą chodzić na nie, a córki, że już więcej ich noga w hotelu nie postanie. Zaznaczyć trzeba, że młodzież tutejsza z małymi wyjątkami tu się urodziła i wychowała. Dzięki szkole polskiej, dzieci tutaj mówią dobrze po polsku.

Niewiast i dziewcząt wyspowiadaliśmy około 1880. Mieliśmy także osobne nauczki po obiedzie dla dzieci, których się wyspowiadało okrągło 400.

W następną niedzielę wieczorem rozpoczęła się serya dla mężczyzn. Choć niewiasty licznie uczęszczały na nauki, to przecież mężczyźni okazali się gorliwszymi od nich; wypełnili świątynię po brzegi, a nawet musieli stać dla braku miejsca w przedsionku kościoła. Starzy górnicy ze siwym włosem na skroni, co większą część życia spędzili w podziemiach kopalni, mężczyźni w sile wieku, wreszcie chłopcy, którzy poganiają muły i ciągną wózki z węglami, wszyscy stawili się, by słuchać słowa Bożego. Widząc takie tłumy strach nas zdejmował: kiedy ich wyspowiadamy? czy damy im radę? Pomagali nam w słuchaniu spowiedzi O. O. Franciszkanie, także Ks. Ks. Duchacze z poblizkiej osady Mount Carmel. Wyspowiadaliśmy mężczyzn około 2000.

Wszyscy przyrzekli uroczyście w kościele, że już się nie upiją w życiu i w niedzielę do hotelów chodzić nie będą. Ogółem mówiąc, ludzie tu dobrze skorzystali z misyi. Kto

chciał się nawrócić do Boga, miał na to czas i kapłanów do spowiedzi.

Naturalnie niektórzy hoteliści nie byli radzi z misyi. Dopiero co skończyły się czasy bezrobocia w Ameryce — nadzieja była, że ludzie zaczną pić i bawić się, a tymczasem misya popsuła im szyki choć na pewien czas.

W czasie misyi zaszedł tu smutny i niezwykły wypadek, który na długie czasy pozostanie i nam i całej parafii św. Stanisława w pamięci. W połowie seryi męskiej stracono na szubienicy młodego chłopaka, 22 lat liczącego, Stanisława Markiewicza. Miał on dwa lata temu, pewnego Litwina, szewca, zabić i zabrać mu 200 dolarów. Ponieważ znaleziono przy nim pieniądze zamordowanego, którymi hojnie szafował w hotelach, wszelkie poszlaki przeciw niemu padły, że on zamordował, choć do ostatniej chwili zaręczał, że jest niewinnym. Trzy razy odnawiano proces, trzy razy ten sam wyrok zapadł: „winien jest śmierci, ma zginąć na szubienicy".

I powieszono go 18. listopada o 11. godz. przed południem. Ks. Tomczykowski był u niego kilka razy, spowiadał go i pocieszał. Także i ks. Daughtery, ksiądz irlandzki, jako kapelan więzienny często go odwiedzał. Obaj księża twierdzą, że niewinnie został powieszonym, że był łobuzem i pijakiem, to prawda, ale nigdy morderstwa tego się nie dopuścił. Szedł biedak na szubienicę z wielką odwagą.

Sprawiedliwości amerykańskiej stało się zadość. Ks. Daughtery płakał nad nim jak dziecko i szeptał: poor boy — biedny chłopiec. Umarł bardzo przykładnie, spowiadał się przed śmiercią kilka razy i przyjął Komunię św. Bóg z pewnością był dla niego łaskawszym, niż sądy protestanckie. Ponieważ głośno wszędzie mówiono, że nie był winnym morderstwa, odbył się nazajutrz uroczyście jego pogrzeb. Wśród bicia dzwonów wniesiono do kościoła zwłoki skazanego na śmierć biedaka i umieszczono je na katafalku. Ks. Tomczykowski odśpiewał mszę żałobną i kondukt. Ks. Daughtery był obecnym na całem nabożeństwie, a oczy jego smutno spoglądały na trumnę, która mieściła w sobie młodzieńca,

wczoraj jeszcze pełnego życia i zdrowia, a dziś już trupa z bolesnym wyrazem na twarzy.

Czy ów nieszczęśliwy chłopak był winien czy nie winien, w każdym razie ten wypadek wywarł wielkie wrażenie na tutejszej młodzieży, pewnie skuteczniej aniżeli najwymowniejsze kazanie; każdy z nich siedział poważnie i zamyślony w ławce.

W sobotę 20. listopada oddaliśmy całą parafię pod opiekę Matki Najśw. Na tej uroczystości byli prawie sami mężczyźni, gdyż niewiast z powodu braku miejsca nie wpuszczono.

Nazajutrz w niedzielę przed sumą poświęciliśmy krzyż misyjny, a po sumie rozpoczęło się 40-godzinne nabożeństwo, w czasie którego spowiadaliśmy niedobitków, a wiele osób zwłaszcza niewiast przyszło po raz wtóry do spowiedzi. Co dzień była o godz. 10. uroczysta suma z asystą i kazaniem, a wieczorem nieszpory także z kazaniem.

Głównym ceremoniarzem na nabożeństwach był O. Alfons. Jest on dyrektorem towarzystwa ministrantów, zw. tutaj z amerykańska „susajdą“ (society). Przeszło 30 chłopców ubranych w ładne sutanny, białego, czerwonego, fioletowego i czarnego koloru, i tegoż samego koloru pelerynki i pasy, krzątało się zgrabnie i zwinnie koło ołtarza. Na dany przez O. Alfonsa znak to siadali, to wstawali, to znowu klękali lub kłaniali się; wszystko szło wedle rubryk kościelnych.

Do uświetnienia uroczystości wielce przyczyniło się przybycie naszego kochanego biskupa polskiego Najprzewielebniejszego ks. Pawła Rhodego. Bierzmował on w pobliskiem Mount Carmel u O. O. Duchaczy. Zaproszony do Shamokin chętnie przybył w poniedziałek 22. listopada wieczorem.

Starzy i młodzi, słowem co żyło w parafii, wszyscy zgromadzili się przed plebanią, by z muzyką wśrod odgłosu dzwonów wprowadzić Biskupa do kościoła. I nie można się dziwić radości parafian. Przyjmowali już nieraz biskupów,

ale nie mieli jeszcze wśród siebie biskupa polskiego, przemawiającego do nich w języku ojczystym.

I wreszcie doczekali się radosnej chwili. Szpaler tworzyły od plebanii do kościoła towarzystwa wojskowe i bractwa. Uwagę wszystkich zwracały na siebie dzieci: dziewczynki przebrane za krakowianki, a chłopcy, w białych ubrańkach, przepasani czerwonemi wstęgami, w długich butach polskich.

Po nieszporach wszedł Najprzewielebniejszy ks. Biskup Rhode na ambonę. W pięknych i prostych słowach wytłumaczył ludziom, jak dobrobyt amerykański doprowadza Polaków do pychy, do pijaństwa i marnotrawstwa, do procesów i kłótni, do nieposłuszeństwa względem Kościoła, a pędzi ich w ręce socyalistów i niezależnych.

Zakończył swe kazanie zachętą do oszczędności, do pracy i wstrzemięźliwości, a przedewszystkiem, by nie słuchali fałszywych proroków i zawsze trwali wiernie przy wierze rzymsko-katolickiej, wierze swych ojców.

Oczy wszystkich ze skupieniem zwrócone były na ambonę, widać, że słowa arcypasterza, Polaka, trafiały do ich serca i przekonania.

Po kazaniu Najprzewielebniejszy ks. Biskup pobłogosławił lud Najśw. Sakramentem, a udzieliwszy wszystkim swego arcypasterskiego błogosławieństwa, został uroczyście odprowadzony na plebanię ze śpiewem naszego hymnu „Boże coś Polskę“.

Nazajutrz raniutko wyjechał Najprzewielebniejszy ksiądz Biskup do Pittsburga, i tak zakończyła się uroczystość, pozostawiając w sercach miłe wrażenia.

We wtorek wieczorem zakończyliśmy też nabożeństwo 40-godzinne, a we środę wieczorem byliśmy już w Filadelfii.

Ks. A. Mazurkiewicz.

Z Parany.

Zaczęte na tem miejscu w pierwszym kwartale zeszłego roku zamieszczanie korespondencyi o działalności Konfratrów i Sióstr Miłosierdzia wśród rodaków naszych w Paranie możemy po krótkiej przerwie znów dalej prowadzić.

Tych samych dwunastu Misyonarzy, co zeszłego roku, pracuje w sześciu znanych wielkich koloniach polskich. Zaznaczyć tylko należy, że dawna Lucena zwie się obecnie urzędowo Itayopolis. Konfratrzy tamtejsi mają pieczę nad Polakami w Rio Vermelho w stanie Santa Catharina.

Prudentopolis.

List ks. Mięsopusta do ks. Wizytatora z dnia 29. listopada 1909 r.

Małą pamiątkę posyłam księdzu Wizytatorowi. Pamiętam doskonale ustęp z opisu ostatniej wizytacyi domów naszych w Paranie, jak ksiądz Wizytator śle westchnienie do św. Stanisława, żeby od niego księża zanieśli do dzikich plemion indyjskich słowo zbawienia. Oto na zamieszczonej fotografii ujrzy ksiądz Wizytator obraz, jak może, jeśli wola Boża będzie, późniejsi księża otoczeni będą grupą Indyan.

W środku widzi ksiądz Wizytator generała. W lewej ręce trzyma szpadę. Znać, że jej nie trzyma dlatego, aby siec i rąbać, bo ze szczepu łagodnego pochodzi, z nad rzeki Miedzianej 30 mil stąd, z rodu Kajugangów. Z początku ostrze trzymał wymierzone ku aparatowi fotograficznemu, ale zwrócił mu uwagę ks. Chylaszek, że aparat by jej nie uwydatnił, i stanął w szyku oficerskim. W kieszonce ma glejt,

a przy nim grzebień, który im dałem, bo przed fotografowaniem chcieli się wszyscy uczesać. Aby żadna skaza nie wystąpiła na fotografii, umyli się jeszcze przedtem. Z boku zwiesza mu się róg, którym w podróży gasił pragnienie. Na sobie ma medalik. Ogromnie się nim zainteresował i pytał, co znaczy, co ma robić z nim, gdy idzie na polowanie, czy zostawić go w domu, czy zabrać go ze sobą.

Z Siostry naszej przełożonej mieliśmy wielką pociechę. Zaawizowałem ją, że przyjdzie generał indyjski wraz z swoją świtą odwiedzić szkołę. Poleciłem jej dlatego prędzej rozpuścić szkołę. Uczyniła to, ale ze zdziwieniem, po co mają dzieci iść do domu, jeśli taka wielka osobistość przychodzi do szkoły. Na prędce zaczęła porządkować salę i układać książki, aby go z wszelkim respektem przyjąć.

Po raz już trzeci, albo czwarty zatańczyli nam Indyanie. Do tańca jednak sam generał nie stanął, nawet nie chcieli się popisywać dwaj jego kapitanowie z butelkami wina w ręku, jakoby upatrywali w tem coś dla siebie poniżającego.

Odeszli od nas ogromnie zadowoleni. „To jednak poczciwi muszą być ci biali", musieli sobie mówić, skoro nas tak zaprowiantować umieli. Dostali kilka butelek wina, (pingi, to znaczy, wódki tylko nie stało), cały bochenek chleba, całą garść pieniędzy niklowych, szkoda tylko, że nie obfitujemy w miedziaki; nadto dostali pojeść, a mięso tak im smakowało, że aż papier oblizywali.

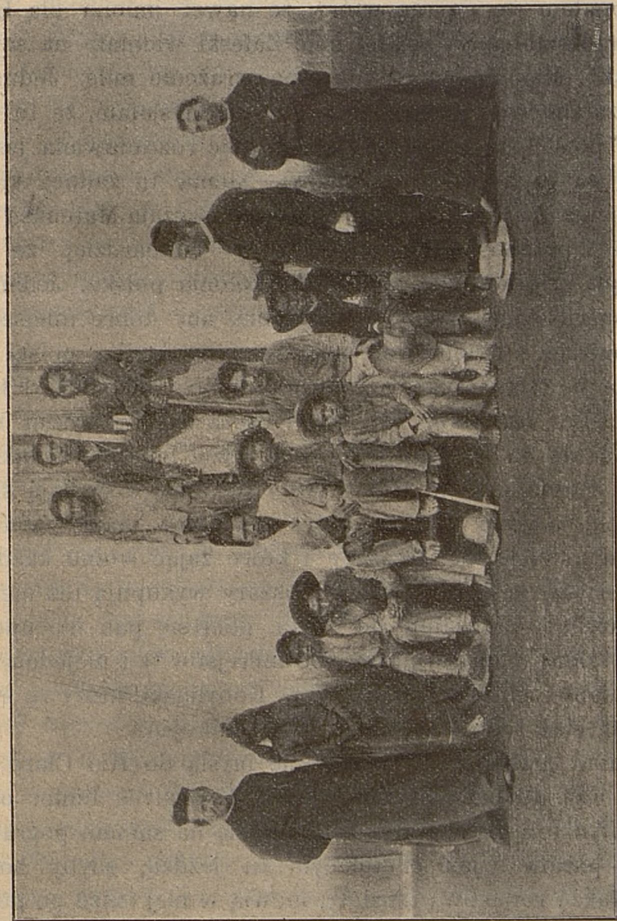
Ksiądz Chylaszek ma po nich śliczną pamiątkę, skórę z tygrysa wraz z głową, która w artystycznych rękach księdza Chylaszka przybierze postać niemal żywego okazu i zdobić będzie muzeum kleparskie. To też ksiądz Chylaszek nie posiadał się z radości, od dawna szukał takiego okazu, którymby ubogacił nasze muzeum, a tu go dopiero znalazł.

W połowie tego miesiąca zwiedziłem wraz z księdzem Chylaszkiem Miguel Calmon i Iraty. Na pierwszem nic ciekawego niema. Po drodze widzieliśmy tylko uciekinierów naszych z Xavier da Silva, którzy tam mieli zamiar poprawić sobie los. Dziś się dowiaduję, że ich dyrekcya kolonizacyjna

nie przyjęła. Ten sam obraz oglądałem dziś. Nieszczęśliwi, biedni Polacy! Zdaje mi się, że tutaj najlepiejbyśmy zrozumieli słowa Skargi: „Będziecie nie tylo bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą!“

W Iraty stanąłem niemal nadprogramowo. Ks. Biskup polecił mi jechać do Niemców i Holendrów na kolonię Gonçalves Junior. Nie bardzo ochota mnie tam gnała, ale więcej posłuszeństwo dla księdza Biskupa. Pocieszałem się tylko, że i jakiego Polaka tam znajdę, i nie zawiodłem się. Stara babinka z Królestwa znalazła się między lutrami i przyszła do spowiedzi. Pracy innej tam nie miałem, bo na 249 rodzin tylko 37 rodzin jest katolickich, a te porozrzucane wszędzie nie mogły skorzystać z moich odwiedzin. Zresztą jechałem tam po raz pierwszy w celach wywiadowczych, a dłużej zostać nie mogłem, a już przeszło tydzień ścigał nas niemiłosiernie deszcz i dzień za dniem w hotelu nocować musieliśmy, a o ile byliśmy poza nim, niewygodna pościel skracała nam sen. Z tęsknotą przeto spoglądałem ku swojemu Prudentopolis.

W Iraty odnalazłem 50 familij polskich. Jedne stale tam są zamieszkałe, inne na pracy. Stałych polskich rodzin mamy tam 34. Proboszcz właściwy odradzał mi tu jechać, rzekomo dlatego, że mają tam tylko być 4 rodziny. Ponieważ nie miałem jego pozwolenia, odprawiałem prywatnie w domu, choć istnieje tam kościółek. Iraty zrobiło na mnie przykre wrażenie. Jest to miasteczko dość piękne i sporo zabudowane, leży na linii kolejowej ku Rio Grande, skąd jeszcze tylko 3 stacye do Rio Claro, ale Polacy miejscowi mówią po brazylijsku, a dzieci niemal po polsku już nie umieją. Zasmucił mnie ten szczegół. Wiedziałem, że niejedną już rodzinę przysporzyliśmy społeczeństwu brazylijskiemu; wiedziałem o Trompowskich w Santa Katarynie i w Rio de Janeiro, o Kruszewskich w Bahii, o Chołowieckich w Ceara; wiedziałem o Sta-



Polscy księża Misyonarze w Paranie wraz z grupą Indyan.

nisławie Przewodowskim, którego imię rozsławia fasada teatru w Itaqui w stanie Rio Grande do Sul, bo w r. 1874 odniósł zwycięstwo nad flotylą paraguajską. Wiedziałem to i smutno mi się robiło, że tracimy na obczyźnie. Tu w Iraty przekonałem się po raz wtóry, że nawet imiona dla Brazylian przekształcają i piękne imię Zaleski widniało na szyldzie „Zalesk“. Miałem jednak niejedno wrażenie miłe. Jedna kobieta załamywała ręce, mówiąc: a już myślałam, że tu nigdy ksiądz polski się nie zjawi, jakżeż więc rozradowana jestem! Polacy są tu wszyscy napływowi. Niema tu żadnej kolonii, ale ponieważ grunta są tutaj dobre, opuszczają Mateusz i Agua Brankę i przenoszą stę w te strony, tembardziej, że głosił im rząd, iż powstanie tam blizko kolonia polska. Jeden Rusin opuścił dobry sklep w Kurytybie, aby dobre miejsce sobie upatrzeć i dopilnować interesu, inny kupiec polski również na to tylko czeka, a prawdopodobnie kolonizacyi tu nie będzie, bo wszystko, co żyje i rusza się i przytem myśli, przenosi się na kolonie kolejowe, gdzie lepsze warunki podobno znajdują, poza Rio Claro. Niektórzy osiedlają się na ziemiach, niejako nullius, które podobno mają pana, ale o które nikt się nie troszczy i które zająć wolno każdemu, kto pierwszy przyjdzie. Takie obszary wykupują też niekiedy od Brazylian, naturalnie do czasu, póki się pan nie upomni, i do 8 szakrów nabywają za 400 milrejsów *) i niejeden umie dobry sobie zebrać kapitalik, n. p. Kobyliński, który ze sprzedaży drzewa zebrał najmniej 20000 milrejsów.

Stąd przenosiłem się chętnie myślą do Rio Claro. Tak blizko stąd do naszych Konfratrów, Gonçalves Junior o trzy mile tylko leżące od Iraty, znajduje się na samem pograniczu naszej parafii i jak chętniebym tu jeździł, gdyby kolonia miała także rodaków; niestety, mówią w niej także po polsku, bo zaraz przy wjeździe do miasteczka mieszkają trzy warszawskie rodziny, ale protestanckie. Resztę ludności z wyjątkiem 37 rodzin katolickich złożonych z Niemców i Holen-

*) 560 kor.

drów, stanowią protestanci najrozmaitszych odcieni z pod Lipska, Berlina i innych stolic niemieckich.

Tu jednak zjechałem się z księdzem Kandorą podążającym na odpust do nas na dzień Matki Boskiej od Cudownego Medalika. Jak w pierwszym tygodniu bez litości smagał nas deszcz, tak w powrocie do Prudentopolis nieznośny upał dokuczał nam, a biegu pospieszyć nie mogliśmy, bo niejako dla przestrogi naszej, innym trzy konie przed nami padły. Przyjechaliśmy jednak szczęśliwie, celebrowaliśmy z możliwie największą okazałością *cum assistentia levitarum sacrorum*, którymi byli ks. Kandora i ks. Zdziebło.

Jutro dzieci polskie składają egzamin. Będę miał nową okazyę wynurzyć Siostrom swą wdzięczność za niezmordowaną pracę, trud i poświęcenie.

S. Mateusz.

Gazeta Polska w Brazylii zamieszcza list datowany z Mateusza dnia 26. listopada 1909, który dla zajmujących szczegółów o pracy tamtejszych SS. Miłosierdzia w całości powtarzamy.

„W czwartek, 25. listopada 1909 odbył się w Mateuszu popis dziatwy ze szkoły prowadzonej przez Szanowne Siostry Miłosierdzia. Był to popis nietylko z nauki i wychowania moralnego, ale i przewagi szkoły prowadzonej przez Siostry nad szkołą prowadzoną przez niektórych nauczycieli, popis ten wypadł wprost świetnie. Punkt o 8-mej rozpoczęła się Msza święta, a o 9½ egzamin. Rodziców gromadka ściągła się spora, a nawet i innych widzów z ciekawości, co też to nauczyły się dzieci w tej szkole, a przybywało tych ostatnich ciągle. Pierwsze miejsce zajmuje religia, pytania z katechizmu, a nawet z biblii św.; potem język polski, historya powszechna i naturalna, rachunki, geografia i kaligrafia. Pomimo, że to rok pierwszy, pomimo że nie wszystkie dzieci przybyły odrazu, lecz w ciągu całego roku przybywały, odpowiedzi jednak śmiałe, wyraźne, pewne, zadowolniły wszystkich. Bo też przy odpowiedziach wszystkie dzieci nie ze spuszczonemi [były

oczyma, lecz otwarcie i śmiało patrzyły w oczy wszystkim słuchaczom świadcząc o dokładnem zrozumieniu przedmiotów. A rodzice dokoła sali przysłuchują się pilnie odpowiedziom, a uśmiech na twarzach dowodzi radości i zadowolenia. Po polsku oddział pierwszy i drugi czyta płynnie, a na znaki pisarskie baczną zwraca uwagę, co przy poprawnej intonacyi, nie tylko treść uwydatnia, ale i czyni ją łatwą i zrozumiałą.

„Z obu tych oddziałów, dziatwa pisze kaligraficznie i czysto. Oddział niższy, jeszcze wszyscy zeszytów nie mają, ale na tabliczkach widoczna jest czystość, co dowodzi, że na porządek zwraca się tam równa uwaga jak i na naukę. Co się tyczy historyi, to przyznać trzeba, że po raz pierwszy słuchaliśmy odpowiedzi dziatwy z przyjemnością. Zwykle uczy się dzieci tego przedmiotu chłodno, z podręczników złych, w których bywa krytyka królów, wodzów i t. d. Najpiękniejsze postacie naszej przeszłości obdziera się nie tylko z aureoli podań, ale odmawia się wszystkiego, co jest szlachetnem i wzniosłem. W zamian za to, przypisuje się im okrucieństwo, brak zdolności i t. p. Pod tym względem staliśmy się ślepem narzędziem Moskali i Niemców, którzy przeszłość naszą systematycznie fałszują.

„Dziecko ma się uczyć historyi, aby kochało przeszłość swego narodu, a nie poto, aby ją lekceważyło lub co gorsza czuło wstręt do niej, co jest prawie nieuniknionem, gdy jej podajemy opisy czynów nieludzkich, często zmyślonych zgoła przez wrogów, często nie mających dowodów dostatecznych i wskutek tego stanowiących przedmiot sporu pomiędzy uczonymi historykami. Tu, powtarzam, była tylko historya, opis czynów znanych i pewnych, i przedmiotu tego słuchali wszyscy zapewne najmilej. Również z historyi naturalnej o zwierzętach, owadach i t. p., były odpowiedzi czyste i zrozumiałe. Z geografii tak samo. Rachunki wyłącznie pamięciowe, a dla starszego oddziału dość trudne, rozwiązywały dzieci szybko. W nauce rachunków uderza praktyczność zastosowana do potrzeb przyszłych w życiu.

„Najważniejsze, iż z dzieci utworzono chór śpiewaczy nadspodziewanie harmonijny. Toż samo należy powiedzieć o deklamacyi, której wszyscy z podziwem słuchali. W szkole tej deklamowały wszystkie dzieci nawet takie maleństwa 6- i 7-letnie, a z jaką dykcyą i z jak rozumnie umiarkowaną gestykulacyą, to trzeba było słyszeć i widzieć, ażeby uwierzyć. O godzinie 12-tej nastąpiła przerwa, która trwała do wpół do 2-giej. Czas ten przeznaczony na posiłek i obejrzenie rozłożonych na stole robótek ręcznych dziewcząt szkolnych. Dział ten zasługuje również na wyróżnienie. Każda sztuka posiadała kartkę opatrzoną nazwiskiem uczenicy, która ją zrobiła.

„Były tam pończochy, fartuszki, chustki szydełkowej roboty, koronek (wstawek) rozmaitych wielka obfitość, a także znaków (liter wyszywanych) małych i wielkich najróżniejszych form itd.

„Słowem jest to już umiejętność, która się przyda przyszłym żonom i matkom, ale często nie zły zarobek dać może. Dziewczęta już dziś niejedno mogą w domu zrobić, co dotąd trzeba było kupić. Niema też wątpliwości, że rozsądne gosposie należycie oceniły wartość oglądanych robótek. A pamiętać należy, że to dopiero rok pierwszy.

„Po przerwie gromadzą się wszyscy na nowo, gdzie kto może, tam każdy pnie się na wyżynę, by dość oczy nakarmić dziatwą przedstawiającą „Wielmożną Panią“, „Batożek“, wkońcu „Kościuszkę i naszych krakusów“.

„Całość tej sceny prześliczna i podziwu godna, za co Siostrom wszyscy chętnie składali podziękowanie. Jedynie zauważono, iż przydałaby nam się salka, a nawet sala, na przedstawienia. Polonia nasza chętnieby spieszyła na takowe i złożyłaby i grosz na dobro publiczne naszego ogółu i naszych dzieci. Ściśle mówiąc wszyscy u nas tęsknią za miłą a normalną rozrywką, a że jej brak, niejeden spieszy na byle głupstwa często ohydne lub niezrozumiałe i płacą, ale cóż, dziwić się temu nie można, bo wszystkim po pracy rozrywka się należy. Od roku S. Mateusz posiada szkołę pod fachowem kierunkiem Szan. Sióstr, a po-

trafią one nietylko uczyć, ale i własnych serc tchnieniem i najobfitszym w dobre rezultaty przykładem tak rozgrzać duszę i myśli przyszłych obywateli i obywatelek narodowości naszej, iż za lat kilka, kilkanaście, bolesna obecnie opinia ustąpi miejsca uznaniu i szacunkowi, a ci, co do dziś przyczyniają się jakimkolwiek sposobem do dobrego utrwalenia tejże szkoły, błogosławić będą chwilę przybycia Szan. Sióstr do nas. Czy to obcy by tu przybył na nasze żądania? czy poświęciłby się na nieznane za morzem losy? Nie, to mógł uczynić ktoś bardzo nam sercu blizki, mogły się zdobyć na ten czyn tylko rodzone Siostry, córki naszego tułaczego narodu i tak poświęcić się nauczaniu naszych dzieci, o czem świadczy popis. Co i jak uczą, wszyscy mieli możność przekonać się.

„Dzieci nasze to nasza przyszłość, przyszłość narodu, niezachwiany to pewnik, dbać więc o ich wychowanie, ale wychowanie szczerze narodowe i religijne, oto nasz największy obowiązek.

„To też śmiało nazwać możemy jaśniejszą chwilę tę, w której przybywa nam nowy przybytek nauki, szkoła czysto polska i to szkoła prowadzona przez fachowe pracowniczki na niwie oświaty narodowej, które z zaparciem się własnego „ja“ potrafią służyć Bogu i Ojczyźnie.

„Do nich to rodzice swych synów i swe córki posyłać mogą ze spokojnem sumieniem i z tą pewnością, że z tej szkoły wyjdzie młodzież nietylko z wiadomościami niezbędnemi na drodze życia, ale i wyjdzie młodzież także prawdziwie polską, moralną i bogobojną.

„A czy zna kto dziś potężniejszą twierdzę nad oświatę, której początek rozpoczyna się w dobrej szkole? Czyż mamy dziś większego wroga nad życie samo, które co dnia, co godzina, wymaga od nas pewnych wiadomości i umiejętności i jak sami widzimy pierwszeństwo oddaje zawsze temu, kto potrzebne ku temu umiejętności posiada. Odbyty popis zadał kłam wszystkim oszczercom, którzy głoszą, iż szkoły zakonne nie dadzą dzieciom należytej nauki. Ale takim głoszeniom już nasi tu obywatele wierzyć chyba w przyszłości

nie będą, boć sami swemi oczyma widzieli i uszyma słyszeli, co dała w przeciągu jednego roku szkoła, prowadzona przez zakonne Siostry. Chętniebym na tej drodze złożył podziękowanie Szan. Siostrom za ich podjęte trudy i mozoły dla dobra naszych dzieci, ale możebym je tem obraził, bo one pracują z poświęceniem się sprawie Boga i naszego ludu. A czy wszyscy ocenili ich prace i nadal oceniać będą sprawiedliwie i należytej pomocy udzielą? Tego nie wiem. Boć stare przysłowie mówi, iż: „jeszcze się taki nie urodził, coby wszystkim dogodził“.

„Po skończonej tej uroczystości wszyscy rozeszli się do domów, wszyscy weseli i zadowoleni i pokrzepieni na duchu, i tak idąc marzyli sobie z tego co widzieli i słyszeli, ile to potrzeba pracy i poświęcenia, by to wszystko tym przyszłym obywatelom i obywatelkom tak składnie w główki nakłaść i tak wyuczyć“.

Milatyn Nowy.

Prowincya nasza nie interesuje się z pewnością żadnym innym domem tak, jak Milatynem nowym, a to nie tyle dlatego, iż to dom najnowszy w prowincyi, ile raczej, że znajduje się w miejscu wsławionem od wieków cudami, w miejscu, gdzie konfratrzy nasi, po myśli Reguł swoich świętych, mają osobliwszą sposobność tak do oddawania czci Męce Zbawiciela świata, jak i roszerzania tejże czci wśród tysięcy wiernych dwóch obrządków. Zaiste Milatyn to „Sion" dla katolików naszej Ojczyzny, a Bethel dla obu rodzin św. Wincentego. Nic więc dziwnego, że doń spieszą niezliczone zastępy wiernego ludu, że nań zwrócone są oczy i serca obu rodzin św. Wincentego, nie dziw, że jedni i drudzy tam najchętniej zdążają, aby wspólnie zawołać; „Kłaniamy się Tobie, Panie Jezu Chryste, i błogosławimy Tobie, żeś przez krzyż i Mękę Swoją odkupił świat".

Milatyn to miejsce, na które tak chętnie spieszą konfratrzy, aby nieść pomoc swoją, bo jeżeli gdzie, to w Milatynie, żniwo jest wielkie.

Krótkie więc, choćby pobieżne sprawozdanie z tego domu, niech będzie zapłatą tym, którzy tam konfratrów naszych w zbożnej pracy współudziałem i modlitwą wspierali!

Zgromadzenie objęło dom i pracę parafialną w Milatynie nowym 1. lipca 1906 roku. Jeżeli Milatyn jest znany w kraju naszym, to tylko dlatego, ze tam znajduje się obraz Pana Jezusa wsławiony cudami, o czem świadczą liczne

krokwie kalek, tysiączne wota, z dniem każdym wzrastające, i listy dziękczynne codziennie przysyłane. Ale podobnie, jak biednym był Jezus Chrystus w szopie betleemskiej i obnażony na Kalwaryi, tak w podobnym stanie zastali Go Misyonarze w Milatynie! — „Szopa licha i to jeszcze źle pokryta“ była schronieniem Najświętszej Rodziny; toż samo mogli również powiedzieć sobie pierwsi nasi konfratrzy, którzy tam przybyli. Kościół pod każdym zaniedbany względem, plebania, przyszły dom Zgromadzenia, zniszczona grzybem i grożąca zawaleniem. Parafianie miejscowi po większej części indyferentni, zastępywani w kościele przez pontników; inni po wsiach rozrzuceni, zaprzedani przez swoich greckokatolickiemu obrządkowi; utrzymanie prawie żadne — oto wszystko! Wobec takich warunków wziąć się im trzeba było z ufnością w pomoc miłosiernego Jezusa do dzieła wszechstronnie, a mianowicie trzeba było podnieść zabudowania ze strasznej ruiny, a równocześnie trzeba było wzbudzić ducha wiary wśród otaczających cudami słynącego Jezusa parafian, podobnych do owych ułomnych otaczających sadzawkę w Jerozolimie, a wołających ustawicznie: „Nie mam człowieka, żeby mnie wpuścił do sadzawki, gdy bywa poruszona woda — Domine, hominem non habeo (Joan. V., 7)“.

Przedewszystkiem trzeba było skupić zbłąkane owieczki obrządku łacińskiego rozrzucone po wsiach, a zaprzedane obrządkowi greckiemu ceną lenistwa własnych duszpasterzy. Dzieło zaprawdę wielkie i trudne niezmiernie! Dokonali go jednak konfratrzy nasi trzechletnią pracą, a to środkami, jakimi ich jedynie tylko Opatrzność boska opatrzyła.

Dom boży, jedna z najpiękniejszych u nas budowli bizantyjskiego stylu z domieszką baroku, został już wewnątrz odrestaurowany prócz ołtarzy, które wymagają kosztownego nakładu. Drewnianą i grzybem zniszczoną podlogę zastąpiono posadzką szteingutową, kosztem 10 tysięcy koron. Ołtarz wielki i presbiteryum ogrodzono żelazną stylową balustradą. Obydwie zakrystye, mogące w danym wypadku być wygodnemi kaplicami, będące dotąd jednem wielkiem śmietniskiem,

zostały z brudu oczyszczone; jedna już do porządku doprowadzona, druga prawie na ukończeniu.

O kościelnych przyborach i aparatach w ścisłem tego słowa znaczeniu, trudno coś powiedzieć. Okazał się brak najniezbędniejszych rzeczy. Tak n. p. zastali konfratrzy jedną tylko zdartą kapę białą, która zastępowała wszystkie kolory, bo kap w innych barwach liturgicznych wcale nie było. Ornaty prawie wszystkie były podarte na strzępy. Wobec takiego smutnego stanu rzeczy, zakupiono za 7 tysięcy koron to, co było najniezbędniejsze, a zdarte przybory poszły do naprawy, aby choć na dni powszednie służyć jeszcze mogły. Kościół szpeciły liczne niestylowe przez domorosłych artystów robione ołtarze, z tych 7 naprawiono, a 5 jako zbyteczne wyrzucono. Kosztem kilkuset koron sprawiono wspaniałą chrzcielnicę; organ, od lat niepamiętnych nie czyszczony i nie strojony, został również do porządku przyprowadzony.

Stary i obszerny dom chylił się coraz więcej ku ruinie. Potrzebne pokoje poprzednicy ogrzewali latem i zimą, aby przygłuszyć wilgoć i grzyb — reszta zapadała się coraz bardziej. I znowu kosztem 10 tysięcy koron podniesiono dom z ruiny. Dano dach nowy, a jedno skrzydło podniesiono na piętro, aby strudzeni pracą konfratrzy, mieli swój spokojny i wygodny kącik na chwilowy wypoczynek. Prócz tego stanęły w ubiegłym roku dwa duże zabudowania gospodarcze niezbędne tak dla nas, jak i dla przyjezdnych kapłanów. Koszta, które powinni byli ponieść parafianie drogą konkurencyi, samiśmy pokryli.

Ponieważ tysiączne zastępy pątników nie mogły znaleźć pomieszczenia ani w starożytnym domu zajezdnym zwanym „Austeryą“, ani w domach nielicznych mieszkańców miasteczka, przeto z jesienią przystąpiono do budowy hali o wielkich rozmiarach, w której pomieszczenie znajdą i najliczniejsze nawet rzesze ludu. Dzięki ofiarności hr. Ludwika Badeniego z Buska, stoi już mur na 112 metrów i fundamenta. Z wiosną będą podjęte dalsze prace i urządzenia. Powiadam

urządzenia, gdyż prócz schroniska, będzie w hali stosowna kaplica i stacye drogi krzyżowej, by wierni mogli poza obrębem kościoła wygodniej słuchać Mszy św., spowiadać się i cześć oddawać Ukrzyżowanemu.

Skoro już mowa o pracy tutejszych konfratrów, około podniesienia z ruiny kościoła parafialnego, nie mogę milczeniem pominąć zabiegów ich celem zaopatrzenia wiosek w kaplice. Wiosek inkorporowanych jest 8; z tych tylko dwie mają kaplice, to jest Kędzierzawce (6 klm.), w ochronce S. S. Służebniczek, i Kozłów (2 klm.), przy szkole żeńskiej Sióstr Felicyanek. Przed kilkunastu laty zbudowano w Lisku (8 klm.) kaplicę, głównie dla tamtejszej ludności polskiej, która iure caduco stała się jednak własnością wyłączną Rusinów. I nietylko nie było człowieka, któryby się ujął za pokrzywdzoną ludnością polską — ale co gorsza, nakazywano jej pogodzić się ze stanem rzeczy i oddano ją we wszystkiem pod duchowną opiekę ruskiego parocha.

Chrzty, pogrzeby, zaopatrywania chorych należały do ruskiego księdza! Pomimo tego utrzymała się tam jeszcze dość znaczna liczba Polaków (około 300 dusz), dzisiaj już do kościoła i obrządku swego przywiązanych, dla tego w najbliższej przyszłości stanie tam druga kaplica, polska. Plac pod budowę i część materyału, ofiarował sam właściciel Liska, pan marszałek Adam Treter. W sąsiedniej wsi, Nowosiółkach (8 klm.), była również dawniej polska kaplica fundacyi Łączyńskich, ale i ta z takich samych powodów, jak w Lisku, stała sią własnością cerkwi. Paroch ruski nie pozwala nawet z nieboszczykiem do niej wstąpić. Ludność polską przerzedzono i zaledwie szczątki z licznej i bogatej ludności obrządku łacińskiego tam pozostały. Dziś jest tam zaledwie 184 dusz, a było ich za lepszych czasów 5 razy tyle. Pomimo wytężającej pracy i zazwyczaj bezintesownej, chcieliby, aby funkcye kapłańskie po dawnemu pełnił paroch ruski. Oczywiście, nigdy na to nie zezwalamy, a każdy zamach na łacinników odpieramy skutecznie. Konieczność zmusiła nas do czynienia zabiegów, aby ten przywłaszczony dom

boży z grobowcami polskiej rodziny odebrać. — Kroki w tym kierunku już zrobiono.

Do kaplic w obrębie parafii jeżdżą konfratrzy stale po dwa razy w tygodniu ze Mszą św., a w niedziele i święta po dwóch na katechizacye. W ten sposób mieliśmy w obrębie samej parafii w ubiegłym roku 366 ekskursyi. Nie wspominam i nie wliczam do tej sumy licznych ekskursyi do sąsiadów i do Niesłuchowa, w parafii żelechowskiej, gdzie od jesieni niemal we wszystkie niedziele i święta, a niejednokrotnie i w dnie powszednie bywaliśmy ze Mszą świętą. Wobec tych potrzeb wszyscy trzej konfratrzy w niedziele i święta binują.

Szkół w obrębie parafii jest 8, a w trzech jest tylko język wykładowy polski. Bywamy w nich stale co tygodnia, po dwa przeciętnie razy, trzymając się ściśle planu, który nam okręgowa rada szkolna zatwierdziła. Wszyscy do nich jeździmy i, poza odpustami, najwięcej im czasu poświęcamy, boć rozumiemy dobrze, że tylko tym sposobem przywiąże się te młodociane serca do Boga, do swego obrządku, do polskiego pacierza i kapłana. Dzieci same cieszą się i dumne są z tego, że mają u siebie regularnie, jak powiadają, „katechjetę“. Przy takiem regularnem bywaniu w szkole, przecież dzieci i całkiem zruszczone przyswajają sobie znaczny zasób wiadomości z polskiego katechizmu, a kiedy zrozumieją nietylko konieczność jego, ale i doniosłość dla nich, ze względu na polską mowę, której poza nauką religii nie słyszą, wówczas naprawdę w dwójnasób cieszy się serce kapłana, a choć nieraz głodny i zbłocony powraca do domu, Bogu dziękuje za błogie owoce, jakie trud jego przynosi. Dzięki częstemu bywaniu w szkole, przyczem kapłan ma sposobność zetknąć się ze swymi parafianami w ich siole, wywiera on na ogół wpływ bardzo dodatni. Najbardziej uprzedzeni przekonują się, że ksiądz polski nie oszczędza się, że nie jest tak wrogi, jak go zazwyczaj dzisiaj przedstawiają, swoi zaś go lubią, garną się do niego, ośmielają się do polskiego kapłana, „bo to nasz jegomość przyjechali“; chętniej

też przychodzą i dzieci do kościoła, „aby jegomość widzieli ich“, i aby ich dziecko w szkole pochwalił lub wynagrodził. Podziwiałem ich w adwencie. Roraty odbywały się w niedziele o 5-ej godzinie, a już wcześniej pełno z odległych wsi dzieci z rodzicami kręciło się po cmentarzu z latarkami w ręku, a ledwo nawinie się „katechjeta“, już wszystko biegnie go powitać, a raczej mu się pokazać. Tak, kiedy ksiądz bywa w szkole, to i dzieci bywają w kościele; to rzecz pewna.

Cóż teraz powiem o pracy konfratrów naszych w kościele? Praca w Milatynie różni się wielce od prac po innych domach naszych.

Tu bowiem prócz ogólnych obowiązków parafialnych, mamy, że się tak wyrażę, stałą pracę odpustową, która jest wszędzie ciężką i mozolną. Konfratrzy, którzy pracują po parafiach lub na misyach, zdają sobie dobrze sprawę, jak wielki zasób sił mieć trzeba do odbycia jednej uciążliwej misyi, jednego ogromnego odpustu! Otóż u nas w Milatynie lato jest literalnie jedną wielką misyą, jednym wielkim odpustem, a raczej pasmem dwunastu wielkich odpustów, bo tyle ich w ciągu lata bywa. Pomijając potrzeby licznych kapłanów pomocników, ileż to potrzeba sił fizycznych i moralnych, aby i pracy podołać i odpowiedzieć duchownym potrzebom tysięcy pątników, od najwyższych do najniższych, od najbardziej wykształconych aż do nieoświeconych, od największych grzeszników aż do dusz wysoko udoskonalonych! Każdy chce tu łzami zrosić stopy Jezusowe i z Magdaleną objąć drzewo krzyża. Kapłan jednak w tem wszystkiem musi być pośrednikiem w trybunale pokuty świętej. Do takiego dzieła potrzeba wielu i to dobrych pracowników. Dzięki Bogu w ubiegłym roku, pomimo że zastępy wiernych tak się wzmogły, iż najstarsi ludzie nie pamiętają, aby tylu było ludzi na odpustach naraz, pomimo że teroryzowano księży grecko-katolickiego obrządku gazetami i denuncyacyami do grecko-katolickiego Ordynaryatu, kapłanów mieliśmy podostatkiem, tak iż wierni zawsze wracali do domów wyspowiadani. Dawnymi czasy bywało tu podobno inaczej; ludek

składał ofiary, ale spowiadać nie było komu. Dziś ludzie sami powiadają, że nastały inne czasy. Słyszy się nieraz głosy, że warto iść do Milatyna, bo wiem, że się tam wyspowiadam porządnie. Mała w tem zasługa nasza, to łaska „Ukrzyżowanego“, który przy obsłudze naszych konfratrów zdaje się być jeszcze miłosierniejszym, niż dawniej.

W ciągu ubiegłego roku wyspowiadało się 48.736 osób, tyle bowiem rozdaliśmy Komunii św. Z tych było 27.523 obrządku łacińskiego, zaś 21.313 obrządku grecko-katolickiego. Liczba tych ostatnich byłaby daleko większa, ale księża ruscy swoich komunikowali nieraz podczas Mszy św. przy bocznych ołtarzach, nadto wielu Rusinów spowiada się u nas w czasie wielkanocnym, a Komunię św. przyjmują w swoich cerkwiach; wreszcie byli i tacy, którzy u nas spowiadali się, a potem poszli na odpust do Milatyna starego, gdzie urządzają równocześnie odpusty ruskie, które jednak nie cieszą się ani frekwencyą pontników, ani pomocą duchowną księży ruskich. — Jeżeli weźmiemy pod uwagę to, że tutaj zazwyczaj w konfesyonale trzeba poświęcać więcej pracy i czasu penitentowi, to powyższa suma świadczy wymownie o ogromnie intensywnej pracy kapłanów, którzy tu przybywają z pomocą, jak i o pracy samychże Misyonarzy miejscowych.

Praca w Milatynie z roku na rok rośnie i wzmaga się, przyczyny wyłuszczyłem wyżej, a do nich dodać mogę: okazałość nabożeństw, doborowi kaznodzieje, (przynajmniej trzech na każdy odpust), życzliwa, bez różnicy obsługa obu obrządków, życzliwość i wielka sympatya, jaką cieszą się tutaj Misyonarze u duchowieństwa obydwóch obrządków, wreszcie coroczny przyjazd Najprzewielebniejszego Ks. Biskupa Dra Władysława Bandurskiego do Milatyna na św. Krzyż. Miodopłynną wymową porywa On tłumy, a pracą w konfesyonale najzatwardzialszych grzeszników wabi do siebie. Innym powodem wzrostu pracy u nas jest indult Stolicy św., na mocy którego wierni raz w roku w dniu dowolnie obra-

nym wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św., dostępują odpustu zupełnego.

Ma on doniosłe znaczenie, zwłaszcza dla tych, którzy dla pominięcia niewygód nieodłącznych od dorocznych odpustów, w dowolnych dniach tutaj przybywają. Z tego przywileju korzystają wierni bardzo często, to też niema prawie dnia, żeby ktoś z dalszych stron nie przyjechał do cudownego Pana Jezusa.

Nie małą także zasługę mają i Wielebni OO. Redemtoryści, którzy w przeszłym roku dając w okolicy misye ludowe, przy każdej sposobności zachęcali słuchaczy do szukania pociech religijnych u stóp cudami słynącego Jezusa w Milatynie. Wiele oni tu w okolicy zdziałali, nietylko dla zbawienia dusz, ale i dla chwały Jezusa Milatyńskiego; niech im za to miłosierny dla wszystkich Jezus hojnie wynagrodzi.

Wśród tej ustawicznej pracy misyjnej w ciągu rocznych odpustów, konfratrzy domu tutejszego ani na chwilę nie zapominają, że prócz tej pracy nad ogółem, ciąży na nich obowiązek pracy nad parafianami, których Milatyn liczy około dwóch tysięcy. Konfratrzy nasi zastali parafian pod każdym względem zaniedbanych, o czem świadczą relacye dziekańskie oraz litterae reformationis z wizytacyj arcypasterskich. Nie mogło jednak być inaczej dzięki stosunkom, które tu panowały. Dzisiaj i pod tym względem dużo zmieniło się; przyznają to nawet ci, którzy nieżyczliwie pojawienie się nasze w Milatynie witali. Życie religijne, zamarłe wśród wielu, budzi tu się przez zaprowadzenie bractwa Przenajświętszego Sakramentu. W ubiegłym także roku zaprowadziliśmy żywy Różaniec; na razie mamy 26 róż, a dowodem ich żywotności były w październiku nabożeństwa zamawiane przez poszczególne róże, podczas których licznie do Sakramentów św. przystępowano. Przedtem nie istniały tu żadne bractwa.

Czas, który zostaje do dyspozycyi, po dopełnieniu obowiązków kapłańskich, poświęcają konfratrzy pracy ekonomicznej i społecznej.

Pod ich zarządem jest Kółko rolnicze, wraz ze sklepem i trafiką, a także kasa Raifeisena. Wszystko rozwija się coraz lepiej. Pod ich dozorem jest też Czytelnia Kółka rolniczego, zaopatrzona w doborową biblioteczkę i liczne czasopisma. W niej gromadzi się codziennie ludność miejscowa, a tym sposobem skutecznie zwalcza się karczmę.

W czytelni tej urządzają się przedstawienia, pogadanki i odczyty, na które ludność miejscowa chętnie uczęszcza, i tylko brak czasu nie pozwala w tym kierunku wszechstronniej pracować. Pomimo to, nie pomijamy żadnej uroczystości narodowej, żadnego obchodu, bez dania im wyrazu osobistym udziałem i pracą, w czytelni czysto-polskiej gminy. Dalecy jesteśmy jednak od szerzenia waśni wśród pobratymczych dwóch narodów. Uznają to sami księża ruscy, którzy nam pod tym względem nietylko zarzutu żadnego jeszcze nie zrobili, lecz owszem z naciskiem zaznaczają nasze pojednawcze stanowisko i stawiają za wzór naszemu najbliższemu ruskiemu sąsiadowi w Milatynie starym.

Wreszcie dodam, że dzięki wpływom naszym i pośrednictwu, znaczny obszar ziemi, przytykający do Milatyna, rozparcelowano wyłącznie pomiędzy Polaków, skutkiem czego miejscowy żywioł polski trochę się wzmocnił. Toż samo ma nastąpić w najbliższej przyszłości.

Oto pobieżny przegląd różnorodnych prac i obowiązków konfratrów naszych w Milatynie. Nie jest on wyczerpujący, daje jednak czytelnikowi wyobrażenie, jak wielostronnej pracy żądają dzisiaj od kapłana potrzeby Kościoła i społeczeństwa naszego. Te obowiązki spełniają widocznie dobrze konfratrzy nasi w Milatynie, skoro Najprzewielebniejszy Konsystorz obrządku łacińskiego we Lwowie pisze na dniu 20. stycznia 1909 roku, pod liczbą 371, jak następuje:

„Do Wielebnego ks. Franciszka Buchhorna, Superyora księży Misyonarzy i Administratora parafii obrządku łacińskiego w Milatynie nowym.

„Ponieważ czytamy w sprawozdaniu wizytacyjnem, że „Milatyn dzisiejszy niepodobny do dawnego“, że chwała Boża

z dnia na dzień rośnie, że napływ pielgrzymów, w którym także Rusini gromadnie udział biorą, coraz większy, że pielgrzymi nie odchodzą nie wyspowiadani, że cała parafia gorliwą pracę WW. Ojców ceni, że dwakroć w tygodniu ekskurujecie Ojcowie ze Mszą św. do kaplicy i szkoły w Kozłowie, że w czwartki co tygodnia jeździcie do Kędzierzawiec ze Mszą św. do kaplicy i do szkoły, że plebanię odrestaurowano i powiększono, że dość dużo szat liturgicznych kościołowi przybyło, nadto, że Wielebność Wasza prowadzi też Czytelnię i kasę Raifeisenowską, — przeto wdzięcznem sercem dziękujemy Wam, Przezacni Ojcowie, za mozoły i trudy dla sprawy Bożej podjęte i do wyrazów pełnego uznania dodajemy arcypasterskie błogosławieństwo dla Was i parafian. — † *Józef Abp*".

Oto cenne słowa uznania dla konfratrów naszych pracujących w Milatynie! Oby Bóg nadal im błogosławił!

Ks. Brukwicki.

Z podróży na Wschód.

17. Przechadzka po ruinach Efezu.

Kiedy dyadoch Lyzymach zdobył Efez, w ten czas miasto już znacznie odległem było od brzegu morskiego. Na wybrzeżach małoazyatyckich występuje to samo zjawisko geologiczne jakie obserwujemy w Delcie Nilowej i w dorzeczu rzeki Padu, północnych Włoch. Nie potrzebujemy sięgać do czasów przedhistorycznych, aby skonstatować, jak ląd coraz to więcej rozszerza się na niekorzyść morza. Miasta, które niegdyś znajdowały się na wyspach, dzisiaj są oddalone o kilka mil od brzegów morskich. Milet, położony nie daleko Efezu, w czasach św. Piotra był wielkiem portowem miastem. Dzisiejsze zaś ruiny leżą daleko od morza. Aby więc utrzymać znaczenie handlowe Efezu, słusznie przeniósł go Lyzymach ze wzgórza Ajasoluk do potężnej zatoki, wrzynającej się między góry Panajirdagh i Bulbul Dagh. Państwo Lyzymacha tylko było przejściowem i w trzeciem wieku przechodzi Efez kolejno z rąk Ptolomeuszów do Seleucydów, a po klęsce Antyocha III. pod Magnezyą, dostaje się w ręce Attalidów z Pergamon. Ostatni potomek tej dynastyi Attalos III. r. 133 zapisuje całe swe państwo i także Efez testamentem Rzeczypospoltej rzymskiej. W ten sposób z Frygyi, Myzyi, Karyi i Lydyi powstaje prowincya rzymska — Azya. Pod panowaniem Rzymian doszedł Efez do największego rozwoju, wtenczas to wypełniła się w zupełności olbrzymia przestrzeń, zakreślona murami Lyzymacha. Do tego to Efezu, popieranego przez Rzymian a przypisującego sobie szumny tytuł pierwsza i najpotężniejsza metropolia Azyi, posiadająca dwukrotny Neokorat, bogini Artemidy i boskich Augustów. Jak widzimy z Dziejów Ap. Efez był ogromnie zazdrosny o swoje imię a szcze-

gólnie o tytuł czcicielki bogini Artemidy, największej bogini Azyi.

Przejdźmy się teraz po ruinach Efezu. przypatrzmy się bliżej temu miastu, w którem działali dwaj wielcy apostołowie św. Paweł i św. Jan. Było to 1. lipca 1908 r. kiedy w towarzystwie 4 kapłanów przez całe 6 godzin przechadzaliśmy się po ruinach efezkich. Wywarły one potężne wrażenie na nas wszystkich. Zwiedziłem już wiele starożytnych miast egipskich, nabatyjskich, kananejskich, syryjskich jednakże miasto Efez chlubnie może stanąć obok największych metropolii starożytnych. Jedynie możnaby z niem porównać ruiny Antyochii. Szczególniej uderza nas olbrzymi mur fortyfikacyjny, wdrapujący się ze swemi basztami obronnemi na skaliste szczyty Koressu do wysokości 353 metrów ponad poziom morza, i przebiegłszy w ten sposób przestrzeń blisko 7 kilometrową, stacza stę ku równinie efezkiej i zakreśliwszy potężny łuk znowu wdrapuje się na skalisty i niedostępny Prion, a okoliwszy go zamyka port efezki. Już około godz. 6 zrana stanęliśmy przed bramą magnezyjską. Tędy prawdopodobnie także w r. 54 wchodzi św. Paweł po raz drugi w mury potężnej metropolii azyatyckiej. Doznajemy dziwnych uczuć przyglądając się pięknym portykom. odkopanym niedawno przez Towarzystwo archeologiczne austr. marmurowej bramy, która ma 3 odrzwia: dwa dla powozów a jedno dla pieszych. W trawie porozrzucane są śliczne marmurowe płaskorzeźby, zdobiące niegdyś tę bramę położoną w Efezie. Tędy bowiem prowadziła droga tryumfalna do Artemizyum, aby okoliwszy cały Efez napowrót wrócić do świątyni Dyany od strony zachodniej. Przechowane napisy (Hicks nr. 481) przedstawiają nam bardzo dokładnie jedną z takich uroczystych procesyi, w której niesiono posągi Dyany z Artemizyum, przez portyki Damianosa, których ślady znajdujemy tuż przy bramie magnezyjskiej, do teatru, a stąd napowrót zanoszono do świątyni Dyany. Jakich uczuć musiały doznawać serca wielkich apostołów, Pawła i Jana, gdy się przypatrywali tym olbrzymim procesyom, których końca prawie nie było, jeżeli zwa-

żymy, że obok prześlicznych świąt, jeden cały miesiąc był poświęcony wyłącznie czci Dyany. Gdy św. Paweł przybył do Efezu znalazł zaledwie garstkę wiernych skupionych w domu pobożnej rodziny chrześc. Akwilasa i Pryski. Jak nam opowiadają Dzieje Ap. pierwsi wierni w Efezie byli dawnymi uczniami ś. Jana Chrzciciela. Potrzeba było trzech lat gorącej pracy, aby chrześcijaństwo mogło tu zapuścić korzenie głębokie.

Tuż obok bramy magnezyjskiej widzimy potężne mury gimnazyum rzymskiego. Zdaleka już podziwialiśmy ten gmach, gdyśmy się spuszczali ze szczytów Panagia Kapuli na równinę Efezu. Sterczą tylko wewnętrzne mury, gdyż przepiękne kamienie, z których były zbudowane mury zewnętrzne gimnazyum, dawno zużyto na budowę innych gmachów, kościołów lub też meczetów. Takich gimnazyów liczył Efez kilkanaście. Nie wyobrażajmy sobie aby gimnazya starożytne miały jakiekolwiek podobieństwo z naszemi szkołami średniemi. Prawda, w nich także koncentrowało się życie naukowe, choć główny cel gimnazyum był zgoła inny. O tyle inny o ile różny jest duch kultury chrześcijańskiej od pogańskiej. Chrześcijanizm przedewszystkiem nacisk kładzie na wykształcenie i wyćwiczenie ducha ludzkiego. Cel ducha Chrystyanizmu jest niebo a nie ziemia. W starożytności z pewnością nie zaniedbywano wykształcenia duchowego, lecz głównie starano się o wydoskonalenie ciała. Jak widzimy z listów św. Pawła, wielki ten Apostół snać bardzo interesował się ćwiczeniami gimnastycznemi, jakie odbywano w gimnazyum. Już dawno zauważono, że św. Paweł, który miał tak wrażliwe serce, nigdy nie interesuje się pięknością przyrody. W listach jego i mowach do naszych czasów przechowanych, w Dziejach Ap. nie znajdujemy prawie ani jednego porównania zaczerpniętego z piękności zjawisk natury. Jego oko zdaje się być zamknięte na to wszystko, a natomiast interesuje się bardzo wewnętrznemi działaniami ducha ludzkiego. To też nieprzeliczone są porównanie, jakie bierze z życia codziennego, a właśnie w listach powstałych w Efezie, czy też mających związek z Azyą, św.

Paweł bierze cały zasób nowych myśli, właśnie z tych ćwiczeń gimnastycznych,

Nie od rzeczy będzie przedstawić krótko zadanie tych potężnych czynników kultury starożytnej, jakimi właśnie były gimnazya. Architekt rzymski Vitruvius (V 11) zostawił nam w swoich dziełach o architekturze, znakomity opis gimnazyów, budowanych zawsze na jedną modłę. Środkową część gimnazyum stanowił olbrzymi perystyl o obwodzie dwóch stadyów (mniej więcej 330 metrów). Ze wszystkich stron otaczał ten podworzec krużganek, który od południowej strony miał podwójny rząd kolumn. Tu się koncentruje największy ruch; tu zbierała się nietylko młodzież, ale także i starsi na swobodne rozmowy i zabawy. W głębi perystylu znajdowało się ephebejon, miejsce ćwiczeń gimnastycznych, a po obu stronach były frigidaria, tepidaria i caldaria (kąpiele zimne, ciepłe i gorące). W osobnych halach znajdowały się eksedry, gdzie się zbierano na rozprawy filozoficzne i retoryczne. Obok tego także były boiska dla rozmaitych zabaw i gier. Do gimnazyum przytykało bezpośrednio t. zw. Xystos, miejsce obsadzone cienistemi drzewami dla przechadzek, a wreszcie było stadyum, w którem odbywano popisy gimnastyczne wobec licznie zgromadzonych widzów. Ćwiczeniom tym oddawać się musieli wszyscy młodzieńcy, gdyż jako największą zaletę męża uważano silne, zdrowe i giętkie ciało, a wykształcenie ducha miało być raczej tylko dodatkiem. W gimnazyach greckich oddawano się następującym ćwiczeniom: pierwsze, był t. zw. bieg, stadyum. W publicznych popisach musiał młodzieniec grecki przebiedz 24 stadyów (przeszło milę) jednym tchem. Dalszemi ćwiczeniami było: skakanie, pasowanie się i mocowanie, rzucanie dyskiem i włócznią. Wszystkie te ćwiczenia razem nazywano pentatlon. Na publicznych igrzyskach ten, który odniósł zwycięstwo we wszystkich tych ćwiczeniach otrzymywał wieniec laurowy, a miasta rodzinne stawiały tym zwycięzcom pomniki na placach publicznych.

Że św. Paweł uczęszczał do tego rodzaju gimnazyum nie z ciekawości, ale dla ewangelizacyi, to nie ulega naj-

mniejszej wątpliwości. Mówią nam Dzieje Ap. r. XVIII. 16., że gdy Paweł przybył do Aten poruszył się w nim duch jego, widząc one miasto poddane bałwochwalstwu, a przeto miewał rozmowy z żydami i ludźmi nabożnymi w bóżnicy i na rynku na każdy dzień w który mu się trafiło. Chodzi po ulicach Aten, przypatruje się pomnikom i ołtarzom ustawionym dla bożyszczy — a to wszystko w tym celu aby tem lepiej poznać lud, który miał ewangelizować. Wprawdzie r. XIX. Dz. Ap., który nam kreśli działalność św. Pawła w Efezie nie mówi nam, aby św. Paweł uczęszczał do gimnazyów greckich. Lecz za to w listach jego mamy tyle szczegółów zaczerpniętych z życia gimnastycznego u Greków, a szczególniej ma to miejsce w listach które powstały albo w Efezie albo też do niego się odnoszą. Tak zaraz w pierwszym liście do Koryntyan napisanym napewno w Efezie, mamy prześliczny ustęp zachęcający chrześcijan do energicznej walki wewnętrznej, pełno w nim obrazów, zaczerpniętych z szermierki greckiej. „Azaż nie wiecie, iż ci, którzy w zawód biebiegają, acz więc wszyscy bieżą, ale przecie jeden zakład bierze. Także bieżcie abyście otrzymali. Każdy też, który na placu bojuje od wszystkiego się powściąga. (Atleci greccy przed ćwiczeniami wstrzymywali się pilnie od nadmiernego używania pokarmów i napojów, potykali się nago, aby im ubranie nie przeszkadzało w popisach). A oni jednak aby wzięli wieniec skazitelny, my zaś nieskazitelny. Ja tedy tak biegnę jako na niepewną, tak szermuję nie jako wiatr bijąc, ale karzę ciało moje i zniewalam, bym snać inszym przepowiadając sam się nie stał odrzuconym. 1. Cor. IX. 24—27“. W krótkim tym ustępie mamy cały szereg wyrazów technicznych zaczerpniętych z życia gimnazyum greckiego. Wyrażenia te wskazują jak potężny umysł św. Pawła umiał przyswajać sobie łatwo poglądy greckie, ale owszem jak potrafił im odrazu nadać nową zgoła treść, zachęcając wiernych, aby w tensam sposób, w jaki niegdyś ćwiczyli ciało, urabiali ducha swego. Także w listach do Tymoteusza, bawiącego w Efezie, znajdujemy aluzye do ćwiczeń gimnastycznych. Ukochanemu

uczniowi swojemu daje między innemi takie upomnienie: ćwicz się w pobożności albowiem cielesne ćwiczenie mało jest pożyteczne. 1. Tim. IV. 7. A na innem miejscu: bojuj on dobry bój wiary. Ćwiczenia te greckie tak głęboko utkwiły w umyśle św. Pawła, że wciąż czyni do nich aluzye. 2. Tim. II. 5 a choćby się ktoś potykał nie bywa koronowany, jeśliby się przystojnie nie potykał. A żegnając się z Tymoteuszem takie wydaje świadectwo sobie samemu: dobrym bój bojował, biegem wykonał, wiarem zachował — odłożona mi jest korona sprawiedliwości, którą mi odda w on dzień Pan, Sędzia sprawiedliwy. Podobnych ustępów z listów św. Pawła moglibyśmy bardzo wiele przytoczyć, (cf. Philip. I. 30; Coll. II. 16; 1. Tessal. II. 2. ad Hebr. XII. 1. Collos. I. 29; i IV. 12). Wszelako wszędzie św. Paweł ma tylko na myśli bojowanie i tutaj zaraz pokazuje się wielka przepaść między kulturą chrześcijańską a kulturą grecką. Gimnazya spustoszały i popadły w ruinę, skoro tylko uleciał duch, który był ich twórcą, chrześcijaństwo stworzyło sobie odrębne centra pielęgnowania ducha. Wśród takich rozważań zwiedzaliśmy starożytne te mury. Od bramy magnezyjskiej i gimnazyum, wiodła w epoce hellenistycznej wspaniała droga do teatru. Krużganki znajdujące się po obydwu stronach drogi, zasłaniały przechodniów przed upalnemi promieniami słońca, zaś w nocy oświecały je liczne pochodnie. Droga ta wiła się między wzgórzami Koressu i Prionu i do niedawna jeszcze można tu było oglądać szczątki licznych świątyń pogańskich, które z czasem pozamieniano na kościoły chrześcijańskie, dzisiaj jednak gruba warstwa ziemi aluwialnej zagrzebała tę świetną przeszłość, tylko tu i ówdzie sterczy odłamana kolumna albo kapitel z pięknemi płaskorzeźbami, wśród których czasem spotyka się symbol naszej wiary: krzyż. Dokuczliwy upał słoneczny nie pozwala nam przypatrywać się bliżej skąpym szczegółom architektury porozrzucanym wśród traw i wśród pól zasianych bawełną i tytoniem, tem więcej, że mamy jeszcze zwiedzać daleko ciekawsze pomniki. Kiedy Ks. Le Camus razem z Ks. Vigouroux bawił w r. 1888 w Efezie, oznacza

na swojej mapce w tej miejscowości ruiny bazyliki św. Łukasza (cf. Le Camus, Notre voyage aux pays bibliques, tom III. str. 136). Jednakże szczegółowe badania towarzystwa archeologicznego austr., których rezultaty uwidocznione są na mapie wydanej przez A. Schindler'a nie wspominają o istnieniu jakiej bazyliki w tej okolicy. Być może, że w przyszłości dalsze wykopaliska wyświetlą nam podania ludności miejscowej. Po drodze spotykamy wykute na stoku Prionu „Odejon", które zbudował w Efezie własnym kosztem Publius Vedius Antoninus. Na przeciwko Odejonu mamy szczątki świątyni z czasów rzymskich. Po godzinnej przechadzce dostajemy się na równinę, w której rozłożył się stary Efez. W tem miejscu komisya archeologiczna austr. przez 10 lat (1895—1906) prowadziła bardzo staranne i umiejętne wykopaliska. Rezultaty tych prac ogłoszone są w wydawnictwie „Jahresberichte des k. k. östr. archeologischen Institutes". Ostateczne jednak wyniki badań ogłoszone będą w kilko tomowem dziele, z którego pierwszy tom ukazał się w opracowaniu Otttona Bendorfa, w Wiedniu 1906. Tom ten obejmuje historyę Efezu i jego pomników, opis budowli sułtanów z Aidin i Ajasoluk, opis t. zw. Arkadiane t. j. wspaniałej kolumnady zbudowanej za czasów Arkadyusza. Wspaniałe studyum atlety z bronzu, który dzisiaj zdobi wiedeński Volksgarten, oraz studyum Willtberger'a o świątyni Artemidy z czasów przed Aleksandra W. W dodatku tego tomu mamy zebraną całą literaturę grecką i łacińską, odnośnie do Artemizyum w opracowaniu Guhla, oraz wyjątki z najważniejszych napisów odnoszących się do kultu Dyany. W naszych wspomnieniach często będziemy się odwoływali do tego dzieła, gdyż prace Ks. Le Camus i Vigouroux (Le Nouveau Testament et les découverts archeologiques modernes str. 272—313, oraz artykuł ks. Le Camus p. t. Ephèse t. dykcyonarza X. Vigouroux oparte na studyach Wouda i Webera w wielu miejscach, podają bardzo dużo mylnych szczegółów.

Droga, którąśmy szli od bramy magnezyjskiej, prowadziła jak już wspomniałem wyżej między górami Prion i Koressos. Już ogarniało nas pewne rozczarowanie, gdyśmy musieli przez kwadrans błąkać się wśród traw, spalonych słońcem lipcowem, i niedostrzegając oprócz potężnych murów miejskich żadnych znaczniejszych budowli. Ogarniało nas znużenie i zmęczenie przy dokuczliwym upale porannego słońca, ale oto nagle zobaczyliśmy u naszych stóp, olbrzymie pole całe zasiane szczątkami marmurowych budowli i porozwalanych kolumn. Zaraz u wyjścia na równinę miejską po lewej stronie wyraźnie się zaznaczając a „agora“ naszą uwagę zwróciła wspaniała biblioteka, która nie dawno dopiero została odkopana, a którą w r. 92 naszej ery zbudował namiestnik prokunsul Titus Julius Celsus Polemeanus. Przed gmachem bibliotecznym rozciąga się wspaniały podworzec czworoboczny, cały wyłożony wielkimi marmurowemi płytami. Z podworca po potężnych schodach wchodzi się do portyku złożonego z sześciu kolumn, których postumenty stoją jeszcze nietknięte na miejscu a po bokach portyku mamy dwie wielkie nyże, dla umieszczenia posągów. Biblioteka wstawiona jest w ścięty stok górski, którego obsuwanie się powstrzymują potężne mury, które także miały strzedz gmach przed wilgocią. Obok biblioteki był jeszcze osobny budynek dla odczytów, jakie wygłaszali sofiści, skupiający się chętnie w Efezie. Poustawiane tympanony i architrawy, bogato rzeźbione, dają nam pojęcie o przepychu tego budyunku. Znane są starożytności dwie biblioteki: aleksandryjska i pergameńska. Ale tylko w Efezie przechował się gmach bilioteczny. Efez, jak wiemy zawsze chciał uchodzić za pierwsze miasto azyatyckie. Długi czas solą w oku dla mieszkańców Efezu był przywilej neokoratu ubóstwionych cesarzy rzymskich Pergamum. Od początku zaraz przejścia pod panowanie cesarzy rzymskich starał się Efez o pozwolenie na budowę świątyni dla Augustów. Lecz przywilej ten dopiero osiągnął za czasów Antoniusza Piusa. Być może, że bibioteka w Efezie także powstała z chęci rywalizowania z Pergamon. Ona jedna tylko z teatrem ocalała, w czasie

najazdu Gotów w III. w. po Chr., podczas gdy wszystkie inne budowle tamże zostały doszczętnie zburzone. Wszelako przyznać musimy, że w Efezie kładziono wielki nacisk na wykształcenie szkolne. Szkolnictwo zostało tutaj uorganizowane w różne stowarzyszenia, pilnie popierane przez gminę miejską. Młodzież szkolna występuje pod przewodnictwem swoich pajdonomów, jako korporacya przy uroczystych obchodach w teatrze i otrzymuje także zapomogi pieniężne. W Dziejach Ap. XIX. 9 jest wspomniana szkoła jakiegoś Tyrannosa, w której św. Paweł przez dwa lata uczył od 5—10 godzin. W licznych audytoryach, retorów i sofistów pielęgnowano studya prawnicze i administracyjne. Miasto Efez ściągało wszystkich najuczeńszych sofistów do siebie, udzielając im wielkie honorarya. Szczególnie drażniło obywateli Efezu, że nie mogli dorównać co do uczoności sąsiedniej Smyrnie. Choć nie mogli się pochlubić takim uczonym jak Polemon, jednakże próżność ich znajdowała swe zaspokojenie w takim Lolianosie i Damianosie. Nie wiemy, w jakiego rodzaju literaturze przedewszystkiem lubowano się w Efezie. Ogół jednakże ludności zdaje się smakował niezmiernie w książkach treści magicznej i czarnoksięskiej. Czytamy w Ap. XIX. 19. o karze jaka spadła na synów niejakiego Skeuasa, arcykapłana żydowskiego, za to, że chcieli wypędzać czarty imieniem Jezusa, którego ogłaszał Paweł. Wskutek tego taki postrach padł na chrześcijan, że wielu z nich wyznając swoje grzechy, prawdopodobnie różne praktyki magiczne, znieśli różnych ksiąg magicznych za 50 tysięcy drachm, które publicznie spalono. W Efezie specyalnie uprawiano magię pod opieką Artemidy. Stąd rozszerzały się t. zw. Ephesia grammata, t. j. wypisywano na skrawkach papyrusów różne kabalistyczne wyrazy, mające służyć jako talizman dla ich właścicieli.

Od biblioteki kierujemy nasze kroki na agora, na rynek. Stąd mamy widok prześliczny na potężne teatrum, oddalonego o 200 metrów. Rynek stanowi regularny czworobok, stosunkowo nie wielki. Ze wszystkich stron otaczają go por-

tyki, złożone z kolumn marmurowych. Rynek w miastach greckich stanowi centrum całego ich życia. Dyalog św. Justyna z Tryfonem właśnie tutaj się rozgrywa. Św. Paweł z pewnością niejednokrotnie tutaj szukał nowych zwolenników dla ewangelii. Tu też zawierał prawdopodobnie znajomości z azyarchami, deputowanymi na sejm efezki, którzy w krytycznych chwilach skuteczną nieśli pomoc św. Pawłowi. Perłą wszystkich budowli efezkich — to potężny teatr. Był on jednym z największych w starożytności. Mógł pomieścić koło 30 tysięcy widzów. Uderza nas przedewszystkiem wspaniałe i ogromne proskenion, które miało trzy piętra, z których dwa jeszcze sterczą. Teatr zniszczony przez trzęsienie ziemi, został odbudowany w czasach Dyoklecyana. Jego „cavea" wcina się półkolem w górę Prion, otoczona zaś była galeryami, z których roztaczał się widok na całą okolicę. Tu i ówdzie wśród krzaków i cierni rozróżnić można siedzenia marmurowe. Teatr ten był widownią zdarzeń, które nawet św. Łukasz uważał za tak ważne, aby je szczegółowo opisać w Dziejach Ap. Św. Paweł już prawie trzy lata głosił ewangelię w Efezie, zdawało się, jak to widzimy z listu do Koryntyan, że działalność jego nie napotka na większe trudności. Już nawet był wyznaczył termin swego odjazdu do Grecyi, celem zwiedzenia tamtejszych gmin, gdy niespodziewanie wielka burza powstała nad młodą gminą chrześcijańską. Powiada św. Łukasz, (Act. Ap. XIX. 23—29): „A w onym czasie stał się rozruch niemały około drogi Pańskiej. Albowiem niektóry, imieniem Demetryus, złotnik, który robił kościoły srebrne Dyanie, czynił niemały pożytek robotnikom, które zebrawszy i inne, którzy takież rzemiosło robili, rzekł: Mężowie, wiecie, iż z tego rzemiosła mamy dostatki nasze; a widzicie i słyszycie, iż nie tylko w Efezie, ale mało nie po wszystkiej Azyi ten Paweł namawiając odwrócił wielką rzeszę mówiąc, że to nie są bogowie, którzy są rękami uczynieni. Przetoż nam się obawiać potrzeba, aby nie tylko rzemiosło w lekceważenie nie przyszło, ale aby i kościół wielkiej bogini Dyany za nic był poczytany i aby nie przyszło do

skażenia dostojeństwa jej, którą cała Azya i wszystek świat chwali. Co gdy usłyszeli, napełnieni gniewem krzyknęli, mówiąc: Wielka Dyana efezka, a napełniło się wszystko miasto zamięszania i wtargnęli do teatru, porwawszy Gaja i Arystarcha, Macedończyki, towarzysze podróżne Pawłowe". Widocznie rozruch wszczęto na rynku lub na jednej z ludniejszych ulic. Przyczyną tego rozruchu była bojaźń o utratę zysku jaki mieli złotnicy ze sprzedaży srebrnych medalionów z wyobrażeniami świątyni i bogini Artemidy. Chrześcijaństwo widocznie głęboko zapuściło korzenie, nie tylko w Efezie, ale w całej Azyi, skoro zaczęło już wywierać swój wpływ na polu ekonomicznem. Widocznie kult Artemidy znacznie podupadł i widzimy już tutaj to zjawisko, o jakiem później wspomina Pliniusz w liście do Trajana, że świątynie pogańskie opustoszały. Św. Paweł chciał zrazu wystąpić, wobec roznamiętnionego pospólstwa, ale uczniowie mu tego nie dopuścili i owszem nawet niektórzy z Azyarchów, którzy jak wspominają Dzieje Ap. byli jego przyjaciółmi, prosili go, aby nie wychodził do teatru. Teatr bowiem był miejscem nie tylko przedstawień ale także zebrań publicznych, jak widzimy z opowiadań św. Łukasza cały ten tłum nie wiedział nawet, po co się zgromadził (Act. Ap. XIX. 30—32). Tak jedni jak i drudzy inaczej wołali, albowiem było zgromadzenie zamięszane, a wielu nie wiedziało, dla czego się zeszli. Zdaje się, że z całego tego zamięszania chcieli skorzystać żydzi, wieczni nieprzyjaciele św. Pawła. Widocznie obawiając się, aby nienawiść tłumu nie zwróciła się przeciwko nim wypchnęli z pośród siebie niejakiego Aleksandra, który pragnął mową uspokoić tłum. Ale właśnie ta miała wyjść na korzyść sprawy chrześcijańskiej. Bo, gdy motłoch poznał, że Aleksander jest żydem, tem więcej zaczął krzyczeć, przez całe dwie godziny: wielka jest Dyana efezka. Szczęściem jednak znalazł się w Efezie człowiek, jak z jego wystąpienia widać, sprawiedliwie osądzający sprawę św. Pawła. Był nim sam burmistrz miasta, którego Dz. Ap. nazywają pisarzem.

Właśnie w teatrze efezkim znaleziono cały szereg inskrypcyi, wykazujących, że naczelnik miasta nosił bądź co bądź ciekawy tytuł pisarza. W ten sposób zamknięto usta tym pseudokrytykom, którzy zarzucili św. Łukaszowi nieznajomość rzeczy i stosunków w Efezie, gdy wprowadza nieznane dotąd nazwy urzędników.

Cała ta terminologia św. Łukasza przez najnowsze wykopaliska Wooda, Humana i Bendorfa została znakomicie potwierdzona.

Mowa, jaką wygłosił pisarz do zebranych tłumów, nosi na sobie tyle cech specyficznie efezkich, iż może niema ani jednego wyrażenia, któregoby nowsze badania na miejscu nie wykazały jako autentyczne. „Mężowie efezcy i któryż jest człowiek, któryby nie wiedział, że miasto efezkie jest chwalcą wielkiej bogini Dyany i córki Jowiszowej. Gdy się tedy przeciw temu mówić nie może, trzeba, abyście nic skwapliwie nie czynili, albowiemeście przywiedli te ludzie, ani świętokradce, ani bluźniące boginię waszą. A jeślić Demetryus i ci co z nim są rzemieślnicy mają sprawę przeciwko komu wszak sądy bywają, są też i starostowie. A jeśli inszej rzeczy szukacie na porządnem zgromadzeniu odprawić się będzie mogło. Albowiem trzeba się bać, abyśmy nie byli oskarżeni o rozruch dzisiejszy, albowiem niema żadnego winnego z któregobyśmy mogli dać sprawę tego zbiegowiska. A gdy tó rzekł rozwiązał zgromadzenie". Po teatrze największą osobliwością w Eferze jest t. zw. Arkadyane. Jest to długa wspaniała ulica wyłożona płytami marmurowemi i po obydwu stronach otoczona pięknymi krużgankami. Ulica ta, ciągnąca się prosto od teatru aż do portu, była 530 metrów długa, 11 metrów szeroka a krużganki biegnące z obydwu stron były po 5 głębokości. Naturalnie dzisiaj ze wspaniałego tego wiaduktu przechowały się tylko ruiny. Ale mimo to, choć przechadzamy się wśród gruzów sprawia to na nas potężne wrażenie. Zasługą towarzystwa archeologicznego jest, że odsunięto ziemię, którą była przesypaną i w ten sposób możemy wglądnąć choć trochę w wewnętrzne ulice starego

Efezu. Przeważna ilość cokołów, na których wspierały się kolumny, zakończone kapitelami korynckimi, jeszcze została na miejscu. Wiadukt ten jednak nie pochodzi z czasów św. Pawła, lecz z czasów byzantyńskich. Przypuszczać jednak należy, że była to tylko rekonstrukcya dawnej drogi, której dokonał cesarz Arkadyusz, odbudowując Efez zburzony przez Gotów. Być może, że późniejsze wykopaliska wykażą, że stoi ona tylko na miejscu starszej podobnej ulicy. Kończyła ją wspaniała brama, którą się wychodziło do portu. I także tuż przed teatrem otwierał wyjście na tę ulicę wspaniały portyk. Poszukiwania Towarzystwa arch. austr. stwierdziły jeszcze na tej ulicy jeden ciekawy monument noszący na sobie cechę wyłącznie chrześcijańską. Mniej więcej w środku wznosiły się 4 wspaniały kolumny. Postumenty ich jeszcze pozostały na miejscu, a ozdobione są krzyżami i innymi symbolami chrześcijańskimi. Prawdopodobnie wieńczyły te kolumny posągi patronów Efezu. Podobnych ulic Efez miał więcej; wspomniałem już, że obok bramy magnezyjskiej w kierunku do Artemizyum był portyk Damianosa zdobiący t. zw. via triumphalis przecinającej sam środek miasta. Także domyśla się Ks. Le Camus, że podobna ulica prowadziła do bazyliki efezkiej znajdującej się na zachód od teatru. Efez leży dzisiaj w znacznej odległości od morza. Jednakże jeszcze obecnie można oglądać port wewnętrzny miasta, cały obwiedziony kamiennem obmurowaniem. Port ten połączony był zapomocą kanału z portem głównym Panormos. Obok portu ciągną się olbrzymie pola, pełne ruin; tak odnaleziono tu ślad term zbudowanych przez Konstancyusza, a także fundamenta olbrzymiego budynku. W tym to gmachu w roku 1896 znaleziono bardzo bogatą salę, długości 32 m. a szerokości 12. Z 3 stron była zamknięta a z jednej otaczała ją kolumnada. Posadzka sali złożona była z prześlicznej mozaiki najróżnorodniejszych marmurów. Ściany zaś pokryte były podobnąż mazaiką marmurową, przytem były rozczłonkowane dwoma rzędami pilastrów, zakończonych wspaniałymi fryzami. Nie jest znanem bliżej przeznaczenie tego budynku,

ani czas, w którym powstał, jednakże pochodzi z I. w. naszej ery, gdyż cała politrownia tej sali wykazuje dużo podobieństwa z pomnikami w Pompei. Dzisiaj jednak tego wszystkiego oglądać nie można, bo wszystkie cenniejsze rzeczy wydobyto ze ziemi i przeniesiono do Wiednia i umieszczono w osobnem muzeum.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Wilhelm Michalski.

Księża Misyonarze w Meksyku.

(*Cfr. Annales z r. 1908, Nr. 2; Roczniki 1909, 3*).

(Ciąg dalszy).

Morelia (1858—1887). — Jest to stolica stanu Michoacan, oraz siedziba biskupa; zwana dawniej Valladolid, w r. 1828 przybrała obecną nazwę od generała Morelos, jednego z bohaterów w walce o niepodległość. Misyonarzy wezwano tu do objęcia seminaryum duchownego w r. 1858. Przez dwadzieścia dziewięć lat jednak zaledwo mogli się tej pięknej pracy naszego powołania poświęcać, bo już 28. grudnia 1887 usunął ich rząd stamtąd.

Monterey (1850). — Dom w Monterey, stolicy stanu Nueva Leon, założono głównie dla opieki duchownej nad SS. Miłosierdzia. Misyonarze przybyli tam dnia 25. października 1850 i osiedli w domu położonym naprzeciw wychowawczego zakładu Sióstr. W rok potem przenieśli się na wezwanie biskupa do seminaryum dyecezalnego, by objąć jego kierownictwo. W grudniu 1901 r. odebrano seminaryum Zgromadzeniu, lecz w r. 1908 oddano mu je napowrót. Obecnie pracuje tamże pięciu księży przy pomocy dwu braci.

Guadalajara (1860). — W mieście tem, stolicy stanu Jalisco, pracowali Misyonarze zaledwo cztery miesiące. Za staraniem kilku gorliwych kapłanów tamtejszych założono w kwietniu 1860 dom księży Misyonarzy i oddano im kościół św. Jana Bożego, a jako główne zadanie mieli dawać misye w dyecezyi. Już w sierpniu jednak rewolucya wydaliła ich stamtąd.

Saltillo (1860—1883). — W Saltillo, mieście stołecznem prowincyi Coahuila, osiedli Misyonarze 20. października 1860. Zadaniem ich było dawać misye w okolicy i pełnić posługi duchowne u SS. Miłosierdzia. Już atoli w lutym 1883 musieli posterunek ten opuścić.

Guanajuato i *Valenciana* (1864—1887). — Kiedy w r. 1860 powtórnie zamknięto kolegium nasze w Leon, przeniósł się stamtąd ks. Józef Perfecto Amezquita y Gutierez do Guanajuato dla objęcia dyrekcyi SS. Miłosierdzia. Równocześnie zaczął na prośbę kilku znakomitszych rodzin kształcić ich synów; a kiedy liczba ich z czasem znacznie wzrosła, ks. Amezquita y Gutierez otwarł kolegium. Pomyślne skutki wzbudziły wnet zazdrość w kolegium rządowem, dla uniknięcia więc kłopotów przeniesiono zakład misyonarski do poblizkiego miasta Valenciana, w r. 1868. W r. 1875 przywrócono je znowu do Guanajuato. Ks. Amezquita został w r. 1886 biskupem, a z nim usunęła się najsilniejsza podpora kolegium; toteż zwinięto je już w następnym roku.

Jalapa (1864). — W mieście tem dawali Misyonarze wielką misyę w r. 1864, od 21. września do 24. października. W tem też roku objęli kierownictwo w tamtejszem seminaryum duchownem.

Zacatecas (1869—1874). — W dniu 15. października 1869 objęli tu Misyonarze seminaryum dyecezyalne; ale już w listopadzie 1874 musieli je opuścić.

Meksyk. — Obok domu Centralnego, położonego obecnie przy kościele Niepokalanego Poczęcia NMP., oraz założonego w r. 1908 domu rekolekcyjnego przy ulicy Calle de Talleres, mieli Misyonarze w ciągu wieku XIX. jeszcze kilka innych fundacyj w Meksyku. — 1. *Dom przy kościele św. Hipolita* (1864—1877). Ks. Franciszek Munoz otrzymawszy kapelanię przy tym kościele, choć i nadal stale mieszkał w domu Centralnym, założył z obawy, aby rząd kościoła nie zabrał, w pobliżu szkołę i kierował nią przez dłuższy czas. Ale ponieważ szkoła i kościół były oddane księdzu Munoz osobiście, a nie Zgromadzeniu, nie przyszło nigdy do for-

malnego otwarcia domu. — 2. *Małe seminaryum pod wezw. św. Józefa* (1872—1877). W r. 1872 dnia 19. września otwarto przy ulicy Monton Małe seminaryum pod kierunkiem księży Misyonarzy. Później przeniesiono je do domu przy kościele Niepokalanego Poczęcia NMP. Z początku roku 1877 superyor tego domu ks. Józef Vilaseca opuścił Zgromadzenie; arcybiskup jednak Meksyku, ks. Labastida zarządził, aby on nadal kierował zakładem, gdyż chciał wykonać dawniej już powzięty zamiar założenia męskiego i żeńskiego zgromadzenia pod wezwaniem św. Józefa. Wskutek tego musiało Zgromadzenie opuścić zakład dnia 25. stycznia 1877. — 3. W zamian za ten zabrany dom oddał Misyonarzom arcybiskup inny, w którym 12. marca 1877 otwarto nowe Małe seminaryum pod wezwaniem NMP. Istniało ono pod nazwą Mascarones aż do r. 1885. — 4. W r. 1874 osiedli na pewien czas Misyonarze w domu przy ul. św. Hieronima i stamtąd jeździli na misye, zostawiając niejednokrotnie, na wzór św. Wincentego i jego pierwszych synów, klucz u sąsiada z prośbą, by im strzegł próżnego domu.

Merida. — Jest to główne miasto na półwyspie Jukatan, a zarazem stolica biskupa. Obecnie ma tam Zgromadzenie trzy domy. — 1. Kolegium katolickie pod wezwaniem św. Ildefonsa, istniejące już od r. 1875. Wtedy także biskup tamtejszy powierzył Zgromadzeniu kierownictwo swego seminaryum, które objęło uroczyście dnia 1. stycznia 1876. — 2. Dom misyjny otwarty w r. 1905 przy kościele NMP. z Lourdes (Cfr. *Roczniki* 1909, 3, str. 204—205), zawdzięczający swój początek głównie znakomitej rodzinie Peon. — 3. Seminaryum duchowne, powierzone znowu Zgromadzeniu w r. 1908.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Persya. — Wiadomo skądinąd, w jak trudnych warunkach znajdują się od dłuższego czasu katolicy w granicach państwa tureckiego i perskiego. Niedolę tę podzielają zwłaszcza w Persyi obydwie rodziny św. Wincentego, tem bardziej obecnie, gdy straciły swego przełożonego w osobie dzielnego ks. Delegata ap., arcyb. Lesné, zmarłego dnia 11 lutego b. r. Raz po raz pukają też oni do serc miłosiernych w Europie o pomoc. Mamy właśnie pod ręką taki list błagalny superyora domu naszego w Tebriz, ks. Bertounesque, datowany jeszcze dnia 13 października 1909, do ks. Wizytatora Słomińskiego. Zamieszczamy go tutaj w nadziei, że wołanie to uzyska wstęp do serc życzliwych i miłosiernych.

„*Tebriz, dnia 13. października 1909.* — Czcigodny Księże Konfratrze! — Już oddawna zamierzałem coś napisać, ale stanęły temu na przeszkodzie zamieszki rewolucyjne w Persyi. Z powodu rewolucyi przybył tutaj oddział wojska rosyjskiego w liczbie 3.000, a wśród tego 800 katolików Polaków. Cisną się oni do nas, ale trudno ich pomieścić wszystkich w naszej kaplicy (8 m. długiej, a 7 szerokiej). Już od dłuższego czasu oglądamy się za obszerniejszą świątynią; a potrzeba ta tembardziej nagli, odkąd przybyli tutaj polscy żołnierze. Chciałbym zbudować kościół pod wezwaniem Najśw. Dziewicy, aby ta dobra Matka zwalczała schizmę i herezyę, które ustawiczny z nami bój toczą. Dlatego to zwracam się do Czcigodnego Księdza Konfratra z prośbą, żeby zechciał mnie wesprzeć czy to wprost czy też pośrednio, polecając moje zbożne usiłowania litości miłosiernych osób. Cztery lata temu obiecał

mi Czcigodny Ksiądz Konfrater, że poleci mnie względom ks. arcyb. Teodorowicza; byłbym niesłychanie wdzięczny za skierowanie uwagi tego Przezacnego Prałata na budowę naszego kościoła.

Dla umożliwienia pracy nad polskimi żołnierzami prosiłem Ojca Generała o przysłanie nam konfratra, któryby władał językiem polskim lub rosyjskim, a równocześnie, jeśli to możliwe, francuskim.

W Tebriz panuje obecnie spokój, bo Rosyanie są panami sytuacyi".

Po raz drugi zwraca się ten sam konfrater z prośbą do ks. Wizytatora w liście z dnia 5. stycznia b. r., dodając, że w tym roku już naprawdę zacznie budowę tak potrzebnego tamże obszerniejszego kościoła. Środków tylko brak!

Ktokolwiek z Szanownych Czytelników zechciałby pospieszyć z pomocą misyi perskiej, a zwłaszcza domowi w Tebriz, redakcya *Roczników* chętnie w tem zbożnem dziele pośredniczyć będzie.

Chiny. — *Ogólny stan misyi chińskiej*. — O. Generał pisze w okólniku noworocznym: „W Chinach mamy najobszerniejsze pole pracy misyjnej i najwięcej też mamy stamtąd pociechy. Obecnie liczymy tamże siedm wikaryatów (w prowincyi Cze-ly trzy, w Kiang-si trzy, w Cze-kiang jeden). Błogosławieństwo Boże spływa obficie na ciężkie znoje pracowników ewangelicznych. W ubiegłym roku wzrosła liczba katolików o 24 tysiące dorosłych, ochrzczonych po odbyciu katechumenatu (nie licząc w to przeszło 2 tysięcy nawróconych na łożu śmierci). Dzieci zaś pogańskich ochrzczono około 56 tysięcy". Wskutek tak pomyślnych stosunków wynosiła liczba katolików w siedmiu naszych wikaryatach z końcem r. 1909, według urzędowego sprawozdania zamieszczonego w *Misyach* francuskich, przeszło 286 tysięcy, rozprószonych w 3.582 gminach chrześcijańskich. Oprócz siedmiu wikaryuszów apostolskich pracuje tamże 157 Misyonarzy europejskich oraz 38 krajowców, a pomagają im kapłani świeccy w liczbie 11 pochodzenia europejskiego, a 100 Chińczyków.

Rezydencyj misyonarskich jest 179, kościołów 211, kaplic publicznych 1.269, prywatnych 432. W 6 seminaryach duchownych wychowuje się 94 alumnów, a w 8 małych seminaryach jest 424 wychowanków.

Wzrost tak pomyślny datuje się dopiero od r. 1901. Jeszcze w r. 1892 było na tym samym obszarze katolików zaledwo 99.600 w 1.498 gminach; a jak powoli ta liczba rosła wskazuje to, że w r. 1899 było tylko 1.789 gmin z 115 tysiącami wiernych. Dopiero po rozruchach bokserskich ożywiła się gorliwość, a krew męczenników stała się nasieniem nowych zastępów chrześcijan.

Nowy dom wychowawczy w Sza-la. — Już w r. 1902 otwarto w Chinach w Kia-szing, w wikaryacie Cze-kiang, dom na seminaryum i studya dla młodych adeptów chińskich, aby w ten sposób pomnożyć szeregi Misyonarzy. Na początek wysłano tam nawet kilku ochotników seminarzystów i studentów z prowincyj francuskich i z austryackiej. Z końcem r. 1908 liczono w Kia-szing 16 scholastyków, a 8 seminarzystów. Ponieważ jednak klimat południowy jest wprost zabójczym dla młodzieży chińskiej z prowincyj północnych, zaczęto myśleć o drugim domu wychowawczym na północy. Uzyskawszy potrzebne pozwolenie Stolicy apostolskiej dnia 9. grudnia 1908 r., przystąpili Misyonarze w ciągu roku 1909 do urzeczywistnienia zamierzonej fundacyi. W marcu podążył wizytator chiński ks. Guilloux do Pekinu, by się porozumieć z trzema wikaryuszami apostolskimi prowincyi Cze-ly co do założenia domu. Wybrano w tym celu jednozgodnie miejscowość Sza-la, położoną w niewielkiej odległości na zachód od Pekinu. Własność tę otrzymała misya jeszcze w czasach jezuickich, od cesarza Kang-Hi.

Wielkie wspomnienia, dawne i świeże, wiążą się z tą miejscowością. Tam właśnie leży cmentarz katolicki, na którym spoczywają zwłoki sławnych misyonarzy jezuickich, jak Mateusza Ricciego, Longobardiego, Adama Schall, Verbiest i innych. W r. 1900 znieważyli te groby świętokradzką ręką Bokserzy. Na żądanie rządu francuskiego otrzymała misya

za to znaczne odszkodowanie pieniężne, co umożliwiło wystawienie okazałego pomnika dawnym nieboszczykom i nowym poległym za wiarę chrześcijanom. Stanął na cmentarzu wspaniały kościół w stylu romańskim. Naokoło od zewnątrz poumieszczano w murach szczątki nagrobków, a pod nimi pogrzebano odszukane zwłoki dawnych pracowników ewangelicznych; wewnątrz zaś biegnie naokoło całej świątyni na 6 stóp od ziemi pas tablic z czarnego marmuru, na których wypisano imiona 5.800 chrześcijan poległych wśród zamieszek bokserskich w wikaryacie pekińskim.

Na tem to miejscu miał się otworzyć nowy dom wychowawczy dla Misyonarzy chińskich. Od r. 1900 zbudowano w pobliżu kościola dwa skrzydła; w jednem była rezydencya misyonarska oraz willa wakacyjna dla seminaryum duchownego w Pekinie, w drugiem wielki katechumenat Ks. biskup Jarlin odsprzedał te domy i część gruntów okolicznych Zgromadzeniu na otwarcie nowicyatu i scholastykatu.

Instalacya odbyła się z początkiem lipca 1909. Wszyscy młodzieńcy pochodzący z północy mieli się z Kia-szing przenieść do Sza-la. Dziewięciu kleryków i braci pod przewodnictwem dyrektora ks. Dutilleul, przeniesionego w tym samym charakterze z Kia-szing do Sza-la, przybyło pod opieką ks. wizytatora Guilloux dnia 3. lipca na miejsce przeznaczenia. Obecnie jest w Sza-la trzech Misyonarzy, księża Dutilleul, Serre i Hubrecht, 5 kleryków w seminaryum i tyluż na studyach, a 4 braci. W Kia-szing zaś jest także 3 Misyonarzy, księża Ryckewaert, Segond i Meyrat, 6 seminarzystów, 9 scholastyków i 2 braci.

Cze-kiang. — Zamieszczamy poniżej tłómaczenie ciekawego listu ks. Tisserand z Kiu-czeu w wikaryacie ap. Czekiang, łaskawie nam nadesłane przez S. Moniak.

„Pięć miesięcy temu zwiedzałem prefekturę Kiang-ua. Słysząc już dawniej, że bardzo stary obraz Najśw. Panny przechowuje się i odbiera cześć u pogan, chciałem się o tem przekonać osobiście. Udałem się więc do miasteczka Mei-san. Poczciwi poganie przyjęli mię bardzo grzecznie. Opowiadali

mi oni, że jeden z ich przodków, mandaryn z Pekinu, przywiózł ze stolicy, w 30 roku panowania cesarza Kang-Hi (lat temu 218) obraz Matki Bożej. Według ich opowiadania obraz ten zawsze tu pobożnie przechowywano. Co roku w 6-tym miesiącu księżyca dzieją się przed nim rozliczne cuda. Przez cały miesiąc wystawiają go ku czci publicznej i obnoszą go w uroczystych procesyach. Cześć ta oczywiście nie różni się w niczem od czci, którą oddają swym bożyszczom.

Dziesięć lat temu, pewien minister protestancki chciał zakupić obraz za cenę 700 fr., ale odmówili sprzedaży i odtąd bojąc się, aby im nie zabrano ich szacownego skarbu, nie pozwalają obcym oglądać obrazu. Nie chcąc się im sprzeciwiać nie nastawałem bardzo. Biedni ci ludzie wskutek prześladowań, a także z braku kapłanów, w ciągu dwu wieków wpadli na nowo w bałwochwalstwo, zachowując tylko cześć dla N. Maryi P., którą zawsze nazywają Matką Bożą. Słuchali mię z uwagą, kiedy im opowiadałem, że i my chrześcijanie czcimy Matkę Bożą i żeby uczcić Jej wielkość i dobrodziejstwa nam udzielane, mamy różne święta, jak np. Wniebowzięcie, które właśnie przypada około 6-go księżyca. „Przodkowie wasi pewnie należeli do religii, którą my głosimy. Powróćcie do wiary waszych przodków, a Matka Boża obdarzać nas będzie nowemi dobrodziejstwami“. Obiecali pójść za moją radą, a kiedy ich opuszczałem, przedstawili mi pismo następującej treści: „Od dawna już pragniemy świątyni, aby głosić religię dla zbawienia ludu z ich grzechów, ale nie byliśmy dosyć liczni, dlatego to odwlekaliśmy aż dotąd. Przodkowie nasi od 30 roku Kang-Hi czcili Matkę Bożą i my nie zaprzestaliśmy tego. Otrzymaliśmy od niej bardzo wiele dobrodziejstw; opowiemy z nich dwa. W dziesiątym roku Kuang-su (25 lat temu), w okolicy naszej wybuchnęła cholera. W całej prowincyi wiele złego ona wyrządziła, myśmy ocaleli; sąsiedzi nasi nie wiedzieli dlaczego, każdego jednak wieczora widzieli około domów naszych kobietę z dziecięciem na ręku. Zrozumieli potem, że to była Matka Boża, przycho-

dzili więc do naszego domu, aby uzyskać uleczenie z cholery, i wracali zdrowi, choć nie brali żadnego lekarstwa. W dwudziestym roku Kuang-su (15 lat temu) 10. księżyca, sąsiedzi nasi przez nieostrożność, wzniecili wielki pożar. Wszyscy się zbiegli, aby go ugasić, widzieli więc wszyscy na dachu domu naszego kobietę rzucającą wodę na ogień. W tej chwili ogień ustał, a kobieta zniknęła. Poznali, że to była Matka Boża. Te dwa wypadki wszyscy znają; dlatego my powiadamy, że Matka Boża jest zawsze i wszędzie. Jak możemy, chcemy ją uczcić, według tego jak jest godną, aby otrzymać łaskę i mieć grzechy odpuszczone. Dlatego dziesięciu z nas uradziliśmy, aby Jej przygotować kaplicę, tym sposobem będziemy mieli pociechę, żeśmy spełnili nasz obowiązek".

Oto petycya naiwna i wzruszająca tego dobrego ludu pogańskiego, który sam mieni się chrześcijańskim, ale właściwie tylko pochodzi ze starodawnej rodziny chrześcijańskiej. Aby wytłómaczyć ich głęboką i stałą cześć ku Najśw. Pannie, możemy powiedzieć, że Marya otaczała ich często swą potężną opieką, Ona spogląda na nich okiem miłosierdzia i nagradza ich nabożeństwo, otwierając im na nowo przystęp do religii, którą wyznawali ich przodkowie.

Cóż czynić, aby wesprzeć dobrą wolę, przyspieszyć powrót do wiary tym sługom Maryi, którzy Ją wzywają nie znając Jej wcale. Trzeba im posłać katechistę, aby ich pouczał, zbudować im kaplicę, gdzieby się zbierać mogli na modlitwę i słuchanie wykładu prawd naszej św. wiary. Zamiast ich niepewnego światełka, dajmy im pełne światło chrystyanizmu, któreby ich prowadziło do Boga, a wtedy ufność ich w dobroć Maryi Niepokalanej oświecona prawdziwem światłem rosnąć będzie coraz bardziej; a wtedy przyjdą tu wzywać Jej prawdziwie u stóp tego obrazu, który tak kochają. Dodajmy, że od dziesięciu lat protestanci dokładają wszelkich usiłowań, aby się ustalić w Mei-san. Ludność się sprzeciwia ich propagandzie. Czyż to nie Najśw. Panna broni przed trucizną herezyi tych pogan, co Jej tak gorliwie wzywają?"

Hiszpania. — *Barcelona.* — Z końcem lipca zeszłego roku spotkało prowincyę barcelońską wielkie nieszczęście. Rząd hiszpański, prowadząc wbrew woli narodu wojnę w Marokko, powołał rezerwistów pod broń. To wywołało niezadowolenie niższych warstw, zwłaszcza, że bogatym zamieniono podatek krwi na podatek pieniężny. Gdy dnia 18. lipca siadali rezerwiści w Barcelonie na okręt, matki, żony i dzieci próbowały przeszkodzić ich odjazdowi. Kazano im się rozejść. Po chwilowym oporze odjechali żołnierze wśród płaczu i łez biednych rodzin na pole walki.

W tydzień potem podobny objaw, który za podżeganiem masonów zmienił się w powszechny strejk. Zatrzymano tramwaje i dorożki, zamknięto fabryki. Zabito kilku pracodawców.

Nazajutrz, we wtorek dnia 27. lipca, ustał wszelki ruch i praca w rękodzielniach. Zato paliła się robota na ulicach, gdzie stawiano pośpiesznie barykady przeciw wojsku i policyi, na którą skierowała się cała wściekłość zbuntowanego motłochu. Gdzie się pokazał policyant, przedstawiciel rządu, tam błyskały noże. Powstańcy przeciągali druty przez ulicę, gdy się w nich konie policyantów zaplątały, sztyletowali ich bez miłosierdzia. Żołnierzom, przeciwnie, okazywano najwyższą przychylność. Toteż oni nie strzelali do ludu mimo rozkazów dowódców.

Ale masoni nadali rozruchom inny kierunek. Podburzyli lud na księży i zakonników. Wkrótce pięć świątyń stanęło w płomieniach. Wzięto szturmem klasztor Marystów, z pośród których trzech padło trupem pod gradem kul; inni się schronili. Wściekłość tłumów rosła z każdą chwilą. Do dziesiątej w nocy legło w gruzy dwadzieścia siedm kościołów, a w ich liczbie także kościół naszych konfratrów na ulicy Calle de Provença. Oto, co o tem pisze wizytator prowincyi barcelońskiej, ks. Gelabert:

„We wtorek, dnia 27. lipca, około południa siedzieliśmy sobie spokojnie w domu. Spodziewaliśmy się, że rozruch, jaki wczoraj wieczorem dał się widzieć w mieście, nie przekroczy granicy zwykłego bezrobocia, jak się to już często

zdarzało. O pół do drugiej jednak po południu zawiadomiono mię o grożącem niebezpieczeństwie, radząc przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności. Chociaż mi się to przesadnem zdało, wysłałem na miasto dwóch braci w świeckiem przebraniu, żeby się upewnić o właściwym stanie rzeczy. Nim jednak wrócili, na nowo nalegano na mnie, byśmy się schronili, gdyż powstańcy puścili z dymem kolegium św. Antoniego, a wojsko nie zdołało temu przeszkodzić. Wtedy zwołałem radę i dałem wskazówki co do ratunku. Około trzeciej zeszło się całe Zgromadzenie, a w godzinę później poprzebierani opuścili wszyscy księża, klerycy i bracia dom, aby w prywatnych domach szukać przytułku. Trzy pobożne panie zabrały do siebie najkosztowniejsze sprzęty kościelne, kielichy, monstrancyę i ważniejsze aparaty, jedyna rzecz, którąśmy zdołali ocalić. Wtem gęste wystrzały huknęły na ulicy. Gromady mężczyzn, kobiet i dzieci ukazały się w pobliżu naszego domu i przybrały groźną postawę. Nie mogąc dłużej zostawać, wziąłem Najśw. Sakrament i wyszedłem z mieszkania w towarzystwie pewnego pana, który mnie nie chciał opuścić. Zbiegowisko przybrało tymczasem tak olbrzymie rozmiary, że widok kilku ulic rzeczywiście dreszczem przejmował. Dzięki jednak naszemu przebraniu przedostaliśmy się przez nie szczęśliwie do pewnego domu, gdzieśmy znaleźli bezpieczne schronienie przez cztery następne dni tego strasznego tygodnia. A tymczasem o czwartej popołudniu oblali podpalacze bramy naszego domu naftą, podłożyli ogień i wnet całe zabudowania wraz z kościołem na ulicy Calle de Provença stały się pastwą płomieni. O ósmej godzinie wieczorem płonęło już wszystko. Brat Riu uprosił sobie, by mógł ile możności jak najdłużej w budynku zostawać, i rzeczywiście ostatni wyszedł z niego wieczorem. Prawie cudem się przy życiu zachował, ale też prócz własnego życia nic innego nie ocalił. Przez całą noc paliła i rabowała rozwścieczona tłuszcza. Na drugi dzień doniesiono mi, że główny ołtarz naszego kościoła i wiele innych rzeczy zachowało się w całości. Ale tłum przyszedł jeszcze raz, a potem po raz trzeci i czwarty i zabrał wszystko.

Teraz zostają z domu tylko grube ściany i niektóre pokoje. Sterczą też mury kościoła, ale w okropnym stanie. — W ciągu tych dni nie mogliśmy się wcale z sobą porozumiewać będąc pojedynczo porozrzucani po różnych domach. Ni stąd ni zowąd gruchnęła nagle wieść, że wrogowie śledzą księży i zakonników, i że ruina grozi tym domom, które ich przyjęły. Poleciłem więc konfratrom, żeby udali się do swych rodzin. Ja również musiałem kilka razy zmieniać miejsce swego pobytu i byłem wskutek tego odcięty od łączności z konfratrami. Na szczęście już 2. września niebezpieczeństwo minęło, i mogliśmy opuścić niespokojną Barcelonę".

Podczas gdy Misyonarze kryli się po domach, na ulicach wrzała zacięta walka. Dzień 28. lipca był jeden z najkrwawszych. Huk wystrzałów grzmiał od rana. Raz wraz dawał się słyszeć ogień rotowy: to żołnierze odpędzali tłum od kościołów, chcąc przeszkodzić ich spaleniu. Kobiety rej wodziły. Gradem kamieni zasypywały policyę. Powstańcy opanowali kilka zbrojowni. Zaopatrzeni w amunicyę i broń zamknęli się w pustym gmachu, paląc z dachów i okien do żołnierzy. Inni obwarowali się na przedmieściu św. Marcina, gdzie przez dwa dni stawiali rozpaczliwy opór atakom wojska i policyi, która cudów męstwa dokazywała. Rozszalały motłoch uderzał kilkakroć na klasztor Jezuitów, ale napróżno, bo Jezuici wraz ze swymi wychowankami tak długo się bronili, aż im wojsko przybyło z odsieczą. W nocy jedynie ogień wystrzałów rozświecał ciemności, bo przewody elektryczne zniszczono. Na drugi dzień przyszła artylerya. Zagrzmiały działa, przedmieście św. Marcina się poddało. W piątek, dnia 30. lipca, ilość spalonych klasztorów i kościołów doszła już do liczby 32. Następna sobota położyła koniec rozruchom. Podjęto pracę; otworzono sklepy. Tylko gruzy i krew na ulicach świadczą o smutnych zajściach. Liczba ofiar niezliczona.

Tak się skończyły zeszłoroczne zaburzenia w Barcelonie. Misyonarze wielką ponieśli stratę. Podobny los groził im w Figueras, jednem ze znaczniejszych miast Katalonii; leży ono tuż przy granicy francuskiej. Misyonarze mają tam dwa

domy: jeden hiszpański, drugi francuski. Francuski konfrater, zostawszy sam jeden w domu, już brał Najśw. Sakrament, by za górami w ojczyźnie szukać schronienia, bo miasto poczynało się burzyć. Podnieta buntu szła z Barcelony, lecz tamtejsza załoga wcześnie go ugasiła. Ogłoszenie stanu wojennego nad miastem rozprószyło powstańców. Konfratrzy tamtejsi przypisują swe ocalenie opiece Matki Boskiej, która nie pozwoliła młodej prowincyi barcelońskiej zginąć w tych strasznych dniach.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków — Kleparz. Od trzydziestu lat przeszło istniejące pod naszem kierownictwem Stowarzyszenie św. Dziecięctwa P. J. może w tym roku w swej kronice zanotować jedyną w swoim rodzaju uroczystość, to jest chrzest pogańskiego człopczyka, w święto Imienia Jezus. Oto jej opis.

Uroczystość tegoroczna Stow. św. Dziecięctwa odbyła się z wyjątkową okazałością. Przyczynił się do tego chrzest 13-letniego chińczyka Kaing-by.

Chrztu św. udzielił dyrektor Stow. św. Dziecięctwa przed Mszą św. o godzinie kwadrans na 10. Rodzicami chrzestnymi byli p. Bronisława Miśkiewiczowa i Iwo Odrowąż Pieniążek.

Kościółek nasz zapełniły takie tłumy ludu, że z największą trudnością i niemal gwałtem było się trzeba przedrzeć do presbiteryum, gdzie dopełniono obrzędu chrztu świętego.

Nabożeństwo św. Dziecięctwa odprawił Najprzewielebniejszy ks. biskup Nowak, przy takim natłoku wiernych, jakiego może kościołek nasz nie pamięta. W ławkach i na ławkach, w konfesyonałach, na ambonie, a nawet i na słupach stojących figur dobijano się o miejsce, wkrótce nie można było przeszkodzić przepełnieniu w presbiteryum. Każdy był ciekawy zobaczyć chińczyka.

Klęczał on w białem ubraniu z gorejącą świecą w ręku w środku presbiteryum. Msza św. rozpoczęła się o godzinie

10-tej. Po podniesieniu nastąpiła rzewna chwila poświęcenia się Boskiemu Dzieciątku.

Akt odpowiedni przeczytało w imieniu dzieci z wielkiem przejęciem małe dziewczę z ochronki Sióstr Miłosierdzia z Krowodrzy.

Drugą chwilą wzniosłą była pierwsza Komunia chińczyka. Po odmówieniu aktów przed Komunią św. przemówił do neofity w gorących i rzewnych słowach Najprzewielebniejszy ks. Biskup. Wspomniał na wielką łaskę, jakiej przed chwilą dostąpił klęczący chińczyk przez Chrzest św., któryto Sakrament wprowadził go do katolickiego Kościoła. Bóg obsypał go tylu dobrodziejstwy, że zaprawdę przez całe życie może teraz głosić dobroć Bożą. Cudownie prawie dostał się do Polski, do naszego miasta. Coby było z nim teraz, gdyby go tu Opatrzność nie była sprowadziła?

Drugiem dobrodziejstwem to łaska Chrztu św. Tylu jego krajowców i rówieśników nieszczęśliwych ginie dla nieba, jego Bóg obdarzył szczególniejszym przywilejem, sprowadzając go do prawdziwego Kościoła.

A w tej chwili czeka go szczęście niewysłowione. Sam Pan Jezus ma wstąpić do jego serca. Nic więcej Bóg dać nie może — daje mu siebie samego. Jakież szczęście, jaka wdzięczność winna przepełniać serce!

Obudź raz jeszcze, drogie dziecko, gorące uczucia ku Bogu, bo oto już Pan Jezus ma wstąpić do serca twojego.

Z płonącą pochodnią przystąpił biedny chiński sierota do Stołu Pańskiego, aby umocnić swe siły, na pracę, trudy i cierpienia, jakie go w życiu niewątpliwie czekają.

Po Mszy św. przystąpił mały Kaing-ba do Sakrametu Bierzmowania. Z tej okoliczności skorzystał Najprzewielebniejszy ks. Biskup, aby przemówić do zgromadzonych, a słowa pełne prostoty i namaszczenia rozrzewniły wiernych. Powtarzamy tu kilka myśli z tego pięknego przemówienia.

Wskazał najpierw Dostojny mowca na przyczyny, jakie zgromadziły tak licznie dzieci i rodziców. Kościół święty

święci dziś Imię Jezusa, Stow. św. Dzieciętwa obchodzi swą uroczystość, chrzest Chińczyka.

Co dzień się modlimy „święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja“. Dziś w szczególniejszy sposób to imię Boże święcicie. Tak licznieście się tu zebrali pod sztandar Boskiego Dzieciątka. Jedno z was, drogie dzieci, odczytało w ciągu Mszy św. tak wspaniały akt, w imieniu waszem przemówiło do Bożej Dzieciny, obiecując iść za jej przykładem. Jakże piękne to Stowarzyszenei, które was tu zgromadza u stóp Najdroższego Zbawiciela! O, zaprawdę, czy możecie lepiej święcić to Imię Jezus, jak w tem Stowarzyszeniu, czy możecie gdzieindziej lepiej pracować nad urzeczywistnieniem słów „przyjdź Królestwo Twoje“? Należąc do Stowarzyszenia św. Dziecięctwa Pana Jezusa szerzycie gorliwie to Królestwo Boże na ziemi i dopełniacie w najlepszy sposób woli Bożej („bądz wola Twoja“). Drobną ofiarą, jaką składacie, a zwłaszcza modlitwą przyczyniacie się nietylko do swego uświęcenia i zbawienia, ale pracujecie również dla zbawienia nieszczęśliwych dziatek pogańskich, które okrutni rodzice wyrzucają, sprzedają albo zabijają, a prawo na to pozwala, a nawet pochwala, bo prawo pogańskie nie zna Boga, człowieka zaś uważa za zwierzę.

Oby jak najwięcej zdarzało się takich wypadków, jak dzisiejszy, na który patrzycie, choć nie tutaj, ale w krajach misyjnych. Wspierajmy więc gorąco Misyonarzy.

Zgromadziliście się tu tak licznie, drodzy rodzice. Pamiętajcie, że nie możecie lepiej zabezpieczyć swych dzieci, jak wpisując je do Stowarzyszenia św. Dziecięctwa. Dziecko, które od młodości pokocha sprawy Boże, które nauczy się odmawiać sobie na rzecz biednych jakichś przyjemności, zrozumie dobrze, że w życiu nieraz ponieść trzeba jakąś ofiarę, jakieś zaparcie dla sprawy dobrej.

Opatrzność Boża sprowadziła cię tu cudem, drogie dziecko, ma widocznie względem ciebie jakieś zamiary. Dziś

to wprawdzie zakryte przed oczyma naszemi, ale może być, że cię powołuje na Misyonarza dla swoich braci i ziomków.

W Sakramencie Bierzmowania masz odebrać umocnienie, abyś w życiu wytrwał. Przyjdą na ciebie trudności, przyjdą walki i pokusy, pamiętaj wtenczas zawsze, abyś nie zaniechał prosić Ducha św., aby cię umacniał.

Nabożeństwo tegoroczne zostanie długo w pamięci u stowarzyszonych, mogących patrzeć na Chrzest, Komunię św. i Bierzmowanie małego Kaing-by, miłem wspomnieniem. W historyi Stowarzyszenia w Polsce zaliczyć musimy tegoroczną uroczystość do najpiękniejszych, które od lat 40-tu obchodziło Stowarzyszenie św. Dziecięctwa w naszem mieście. Piękna uroczystość w Polsce ucieszyła też nad wyraz generalnego dyrektora w Paryżu, gdyż przyczyni się ona niezawodnie do ukochania naszego Stowarzyszenia i do gorliwszej pracy nad ewangelizacyą krajów pogańskich.



Ś. p. ks. Ludwik Ollé.

(*Cfr. Roczniki niemieckie z r. 1909, Nr. 3*).

Dnia 13. lipca 1908 zmarł w naszym domu w Piliscsaba na Węgrzech ks. Ludwik Ollé w 75. roku życia, a 42. powołania.

Zamieszczamy w *Rocznikach* jego życiorys w myśl naszych dekretów, które polecają ogłaszać biografie zmarłych członków Zgromadzenia i uwydatniać ich cnoty, a to ku zbudowaniu i zachęcie do naśladowania.

Śp. ks. Ludwik Ollé urodził się 25. października 1833 r. w Szekszárd na Węgrzech ze zamożnej, szlacheckiej rodziny. Studya gimnazyalne odbywał częścią w Kalocsa, a częścią w Pięciukościołach, gdzie też po skończonej szóstej klasie wstąpił do seminaryum dyecezalnego. Święcenia kapłańskie otrzymał dnia 30. lipca 1857 r., a dnia 9. sierpnia odprawił młody lewita pierwszą Mszę św.

Na nowego pracownika w winnicy Pańskiej czekała już praca, bo jeszcze przed jego wyświęceniem bogata krewna zrobiła fundacyę na utworzenie osobnej parafii dla jednego z przedmieść Szekszárd z warunkiem wszakże, by pierwszym proboszczem tej nowej parafii był ks. Ludwik Ollé. Tutaj więc jął on się z całym zapałem pracy duszpasterskiej i na tem stanowisku pozostał aż do wstąpienia do Zgromadzenia. Z czasu tej pracy duszpasterskiej pozostała mu dotkliwa pamiątka na całe życie. Mianowicie wypadło mu raz wśród tęgiej zimy iść pieszo do chorego z wiatykiem. Ponieważ droga była daleka, a gruba warstwa śniegu pozwalała na

bardzo powolny tylko pochód, więc przeziębił się młody duszpasterz i nabawił się choroby nóg, która przez całe życie dotkliwie dawała mu się odczuć. Wspomnimy jeszcze jeden szczegół z jego pracy duszpasterskiej świadczący o wielkiej gorliwości śp. ks. Ollé. W Szekszárd skazano raz kilku zbrodniarzy na śmierć. Miejscowym księżom polecono przygotować skazańców na śmierć i towarzyszyć im na miejsce stracenia. Śp. ks. Ollé tak gorliwie zajął się swym skazańcem, iż ten jeden jedyny tylko nawrócił się i szczerze żałował za swe zbrodnie. Takiego gorliwego spowiednika chciał biskup dać swoim klerykom na przewodnika duchownego, i zaszczytne, ale i pełne odpowiedzialności stanowisko spowiednika kleryków w seminaryum dyecezalnem ofiarował śp. ks. Ollé. Odmówił on jednak, bo właśnie wtedy żywiej odezwała się w nim chęć wstąpienia do jakiego zgromadzenia zakonnego. Był to zamiar, z którym nosił się już oddawna.

Dnia 11. września 1866. wstąpił do naszego Zgromadzenia. Seminaryum odbywał początkowo w Gracu, a potem przez ośm miesięcy w domu macierzystym w Paryżu. W maju 1868 r. przybył do Wiednia do domu na Kaiserstrasse i tamże złożył śluby św. dnia 20. października 1868 r. w obecności śp. ks. superyora Derler'a. We Wiedniu pozostał przez cztery lata i oddawał się pracom naszego powołania. I tak w grudniu 1868 r. brał udział w renowacyi misyi w naszym kościele na Kaiserstrasse; — w czerwcu 1871 r. również w renowacyi misyi w kościele św. Jakóba w Lichtenegg w Austryi Dolnej. W marcu 1872 r. odprawili synowie św. Wincentego pierwszą misyę w języku węgierskim w miejscowości Nagyperkáta, w komitacie Stuhlweissenburg. Towarzyszami ks. Ollé w tej misyi byli ks. Medits i ks. Ürge. Błogie skutki tej misyi zachęciły go do tego, że odprawił jeszcze dwie misye dla Węgrów, poczem odsunął się od misyj, bo słabowite zdrowie nie pozwalało mu na podejmowanie trudów, połączonych z pracą na misyach.

Zato przez wiele lat działał jako profesor i spełniał inne zajęcia, jak się to w dalszym ciągu okaże. I tak, dawał

rekolekcye węgierskim klerykom w Pazmaneum i zastępował przez dłuższy czas spowiednika kleryków, ks. Lollok, który wybrał się z pielgrzymką do Ziemi świętej. W r. 1872 przybył do Gracu, gdzie przez trzy lata pracował jako subdyrektor Seminaryum Internum, a w chwilach wolnych od zajęć obowiązkowych pomagał w nauce języka węgierskiego księdzu Müngersdorf, ówczesnemu wizytatorowi prowincyi austryackiej.

Chciał też Bóg wypróbować cierpliwość swego sługi. Zapadł ks. Ollé na zapalenie oskrzeli, wskutek czego stracił głos prawie zupełnie i musiał zaprzestać czynnej pracy kapłańskiej, wymagającej zdrowego organu głosowego. Wrócił do Wiednia i tu przez pięć lat zmuszony był wieść życie pustelnicze. Czasu tego użył na przeczytanie całej niemal biblioteki domowej, a z szczególniejszem upodobaniem wczytywał się w klasyków łacińskich.

W r. 1877 wezwano go do Paryża, a ponieważ powoli odzyskiwał głos, przeznaczono go na profesora kleryków. Przez 8 lat wykładał różne przedmioty, lecz ulubionym jego przedmiotem była filozofia. Oprócz tego zajęty był w sekretaryacie, bo władał znakomicie językiem łacińskim i niemieckim. W r. 1878 był świadkiem wyboru nowego przełożonego generalnego, ks. Antoniego Fiat, który wysoko poważał śp. księdza Ollé, okazywał mu szczególniejsze zaufanie i polecał różne ważne funkcye.

W r. 1887 przyjeżdża śp. ks. Ollé do Krakowa w charakterze profesora kleryków. Ale znów odnowiły się cierpienia nóg, tak iż znów zmuszony był wieść życie pustelnicze wśród czterech ścian własnego pokoju, którego przez kilka lat nie opuszczał. Jednakże nie zaprzestał pracy i nadal wykładał klerykom, którzy przychodzili na wykłady do jego pokoju. W piątym roku pobytu w Krakowie cierpienia nieco ustąpiły. Wtedy też mianowano go dyrektorem seminarzystów, by spożytkować jego cnotę, naukę i doświadczenie. Wzbraniał się przed przyjęciem urzędu tak odpowiedzialnego i trudnego, tem trudniejszego dla niego, bo pomimo pięcioletniego pobytu w Polsce, nie nauczył się języka polskiego. Prosił

więc o uwolnienie go z tego urzędu, ale dopiero po roku uwzględniono jego prośbę i pozwolono mu wrócić do Wiednia.

Już po raz trzeci widzimy go we Wiedniu w domu na Kaiserstrasse. Zabawił tu jednak niedługo, bo już w następnym roku w jesieni otworzono nowy dom we Wiedniu na Pouthongasse i tam przeniesiono Małe seminaryum. Ks. Ollé przeniósł się do nowo otworzonego domu, początkowo jako dyrektor Małego seminaryum, a później superyor. Przez 4 lata kierował domem i zakładem, poczem przez krótki czas bawił w Gracu i w Wiener-Neustadt, aż do zniesienia tego domu, 1-go sierpnia 1904. Wtedy wrócił w swe rodzinne węgierskie strony, do domu naszego w Piliscsaba i tutaj prowadził życie spokojne, wśród cierpień coraz to dotkliwszych, bo z latami coraz bardziej zapadał na astmę. Raz tylko powiedział konferencyę w języku łacińskim do księży zebranych na kongregacyi dekanalnej w pobliskiem miejscu odpustowem Maria-Remete. Na ambonie pracować już nie mógł z powodu astmy, — został mu jeszcze konfesyonał i w nim do ostatka pracował, zwłaszcza jako spowiednik Sióstr Miłosierdzia. Otworzyły one dnia 13. czerwca 1905 nowy dom i seminaryum w Piliscsaba, jako dom centralny nowej prowincyi węgierskiej. Kierownictwo to duchowne pokochał śp. ks. Ollé, widząc w niem pierwiastki nowej prowincyi. Oddał mu się też z całą gorliwością, czego dowodem niech będzie choćby to, że schorzały przeszło 70-letni starzec zabrał się do tłómaczenia reguł Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia z języka francuskiego na węgierski — i dokonał tego na miesiąc przed śmiercią.

Widocznie miało to być jego ostatnie dzieło, bo po jego ukończeniu nastąpiło gwałtowne pogorszenie zdrowia. Dotychczas bowiem czuł się względnie dobrze pomimo częstych ataków astmy. Zimę z roku 1906 na 1907 przepędził nad morzem w Volosca koło Abbazyi, skąd wrócił z widocznie polepszonem zdrowiem. Dnia 30. lipca 1907 r. odprawił złoty jubileusz kapłaństwa. Na wiosnę następnego roku (1908) brał udział w rekolekcyach domowych, które w tym roku

wyjątkowo odbyły się w maju, a nie jak zwykle we wrześniu. Miały to być jego ostatnie rekolekcye i przygotowanie się na śmierć. Być może, że on to przeczuł, bo od czasu tych rekolekcyi zauważono dziwną zmianę w jego usposobieniu. Uderzającem zwłaszcza, bo niezwyczajnem u ś. p. ks. Ollé było jego milczenie na rekreacyi; o ile przedtem był wesoły i rozmowny w towarzystwie, teraz zamknął się w sobie i zamilkł. Nikt wszakże nie przypuszczał, by koniec jego był tak blizki. Tymczasem dnia 6. lipca dostał gwałtownego ataku febry, wystąpiły oznaki kilku chorób, a ostatecznie zapalenie płuc sprowadziło śmierć, dnia 13. tegoż miesiąca.

* * *

Charakterystykę śp. ks. Ollé skreślił jego blizki krewny i kolega ze seminaryum w następujących słowach. „Byłto nadzwyczaj szlachetny i miły charakter. W seminaryum był naszym przywódcą, uznawaliśmy jego prawość i powagę nad wiek i poddawaliśmy się jego przywództwu chętnie. W kwestyach spornych rozstrzygał zwykle jego trafny sąd; przeciw jego zdaniu nie było odwołania. W późniejszem życiu kapłańskiem spełniał obowiązki duszpasterskie z wielką sumiennością — a odznaczał się pobożnością, pokorą i czystością serca. Wszędzie zyskiwał sobie miłość podwładnych a przychylność zwierzchników“. Oto mniej więcej wierny obraz, z którego nic ująć nie można. Wypadałoby nam chyba coś dodać i na przykładach z życia wziętych uwidocznić te śliczne rysy charakteru.

Śp. ks. Ollé robił wrażenie człowieka niesłychanie surowego. Nie było to wszakże oznaką twardego serca, ale wpływem poważnego zapatrywania się i troski o zbawienie. Illustracyą niech będą słowa, któremi żegnał się ze swym bratem przed wstąpieniem do Zgromadzenia. „Jadę do Gracu, by wstąpić do zakonu, bo tam tylko znajdę spokój duszy i nad jej zbawieniem skutecznie i pewnie będę mógł pracować. Bądźcie dobrymi chrześcijanami, a spotkamy się kiedyś w niebie“. Tak poważne zapatrywanie się na sprawę swego zba-

wienia musiało oczywiście wpłynąć na jego usposobienie i odpowiednio go nastroić. Stądto ta powaga, niemal surowość, jaka go cechowała. Wszelako ta powaga nie była tego rodzaju, co mrozi i odstręcza od siebie, owszem w pożyciu był nadzwyczaj miłym i serdecznym. Umiał pozyskać sobie zaufanie żywem a pełnem miłości zainteresowaniem się przykrościami i trudnościami wszystkich, co się doń o radę czy zachętę i pociechę zgłaszali. By nie osłabić tego zaufania, zwłaszcza u podwładnych, nie dawał im nigdy wręcz odmownej odpowiedzi, gdy nie mógł prośbie zadośćuczynić, lecz zalecał cierpliwość. O potrzeby podwładnych był nadzwyczaj dbały, w miarę możności, aż do drobnostek. A sam się ograniczał do rzeczy najniezbędniejszych. W swoim pokoju nie znosił rzeczy zbytecznych; słowami „nie potrzebuję tego“ pokrywał zamiłowanie ubóstwa. Gdy przyjechał do Piliscsaba, oświadczył wręcz superyorowi tego domu, iż jest zupełnie ubogi i nic nie posiada. Rzeczywiście nie miał nawet książek prywatnych. W podróż wybierał się zawsze tylko z brewiarzem i Pismem św. Chodził w mocno wytartem ubraniu, pomimo że, jak raz się przyznał, od dzieciństwa czuł wielką przyjemność, ile razy dostał nowe ubranie.

Swój krok wstąpienia do Zgromadzenia motywował przed ciekawymi chęcią życia w słodkiem jarzmie posłuszeństwa. Wspominał później w podeszłych latach z uśmiechem o tem „słodkiem jarzmie“, chcąc dać do zrozumienia, iż posłuszeństwo, aczkolwiek dla Jezusa słodkie, lecz bynajmniej jarzmem być mu nie przestało; a mimo to nie zrzucił go do śmierci. — Wchodząc w myśl zasad św. Wincentego starał się śp. ks. Ollé być mężem modlitwy. Zrozumiał potrzebę modlitwy i oddał się jej zaraz w pierwszych latach kapłaństwa, na dowód czego możemy przytoczyć bardzo śliczny obrazek. Jako młody ksiądz odwiedził raz znajomych i u nich przenocował. Przed udaniem się na spoczynek modlił się na klęczkach długo i pobożnie, myśląc że go nikt nie widzi. Tymczasem domownicy podpatrywali go przez szpary w okiennicy i na drugi dzień powiedzieli mu, iż jeszcze nie widzieli

księdza, któryby się tak pobożnie modlił. — To zamiłowanie modlitwy zachował śp. ks. Ollé aż do śmierci. Pacierze kapłańskie odmawiał z wielką skrupulatnością i punktualnością. Po Mszy św. i śniadaniu pierwszą jego czynnością było odmawianie Horek, i niechętnie patrzał na to, gdy je ktoś odkładał do południa. Mszę św. odprawiał z wielkiem skupieniem i namaszczeniem. Z początku odprawiał ją z tego powodu bardzo długo, ale gdy mu na to zwrócono uwagę, poprawił się i odtąd odprawiał zwykle Mszę św. 25 minut, a z takąsamą powagą i nabożeństwem, co poprzednio. — Na akty strzeliste nawet w czasie rekreacyi, i na koronkę poświęcał wszystkie wolne chwile. Odkąd nie mógł jeździć na misye, odmawiał codzień cały różaniec za powodzenie misyj. — Wspomnieć jeszcze trzeba o wielkiem jego nabożeństwie do św. naszego Założyciela. Często widywano go przed ołtarzem św. Wincentego; a jak wielce go czcił, wnosić było można z przemówień na powtórzeniach medytacyi.

Życiorys ten byłby jednostronny, gdybyśmy choć ogólnie nie wspomnieli, że śp. ks. Ollé miał również wady, a nawet liczne, ale skutecznie musiał pracować nad ich wykorzenieniem. Za najdzielniejszy środek ku temu uważał spowiedź, przeto też skrupulatnie spowiadał się co tydzień, a oprócz tego miał zbawienny zwyczaj odbywania spowiedzi generalnej co miesiąc.

Za zadanie i cel, ku któremu dążył jakby motto swego życia wziął sobie słowa św. Pawła: „Umarli jesteście i wasze życie jest ukryte z Chrystusem w Bogu“. Do tego dążył — możemy więc mieć nadzieję, że do niego odnoszą się i na nim sprawdzą się słowa, które św. ten Apostoł napisał zaraz w następnym wierszu: „Kiedy Chrystus, życie wasze, okaże się, tedy i wy z nim okażecie się w chwale“.

Ś. p. ks. Antoni Gąsiorowski.

Ks. Antoni Gąsiorowski, syn Jana Ślepowron Gąsiorowskiego i Wiktoryi z Goniewiczów, właścicieli sołtystwa w Strzemieszycach wielkich, w powiecie olkuskim, w Królestwie polskiem, urodził się dnia 22. maja 1839 r. Po skończeniu szkół wstąpił do księży Misyonarzy u św. Krzyża w Warszawie, dnia 14. czerwca 1861. Po odbyciu dwuletniej próby złożył śluby św. dnia 15. czerwca 1863 i przeszedł na studya. Dyrektorem był wówczas ks. Tomasz Popławski, zmarły w r. 1883 w Krakowie na Kleparzu. Poznawszy wielkie talenta młodego alumna kazał mu się w czasie wakacyi przygotować z kursu filozoficznego, który miano przechodzić w roku następnym. Gąsiorowski z końcem wakacyi zdał dobrze egzamin i przekroczył w kursach o jeden rok naprzód. Kiedy w r. 1864 nastąpiła ogólna kasata zgromadzeń zakonnych w Królestwie, a cios ten nie minął i Misyonarzy, przeniesiono wszystkich alumnów od św. Krzyża w Warszawie do seminaryum dyecezyalnego przy katedrze św. Jana. Tam znów był Gąsiorowski uczniem celującym. W r. 1866, ponieważ w Warszawie nie było arcybiskupa, pojechał do Włocławka i tam otrzymał święcenia kapłańskie.

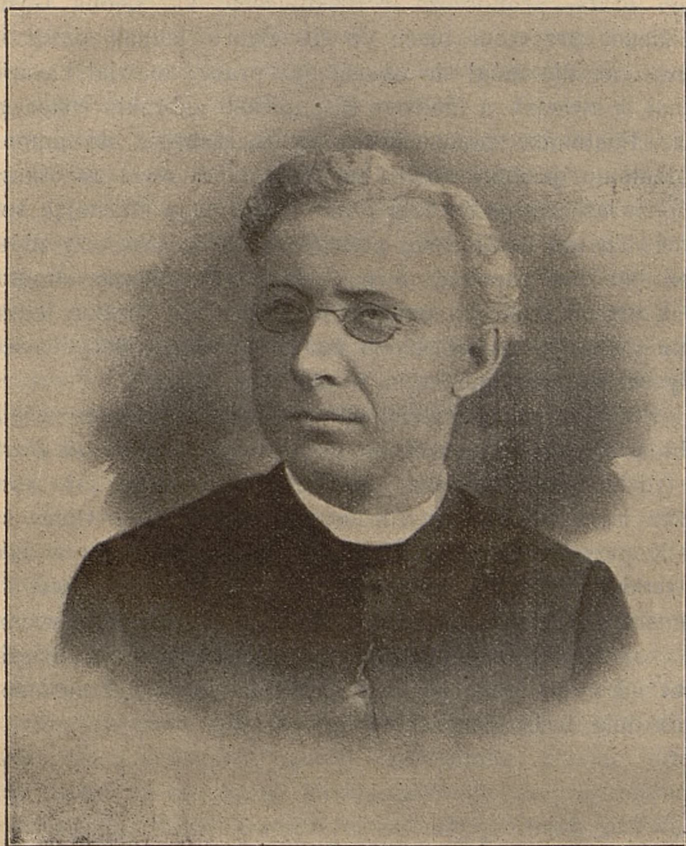
Po wyświęceniu otrzymał posadę wikaryusza w mieście Tarczynie przy boku podeszłego wiekiem proboszcza ks. Wojciecha Zybaczewskiego. Parafia liczyła 5.575 dusz, a w dodatku położona blizko Warszawy, wymagała wielkiego nakładu pracy, jak zwykle w pobliżu wielkich miast. Ks. Gąsiorowski rozpoczął gorliwą pracę nad umoralnieniem parafian. Ale już po kilku miesiącach przeniesiono go na posadę wikarego przy kościele Najśw. Maryi P., a następnie do największej parafii warszawskiej przy kościele św. Krzyża. Był tam naonczas proboszczem staruszek pochylony wiekiem, ex-Pijar ks. Jakubowski, kapłan nadzwyczaj światły i uczony. Cały więc ciężar pracy w kościele i parafii spadł na ks. Gąsiorowskiego, który też całą swą energię w to włożył. Zasłynął wkrótce

z gorliwości w całej Warszawie, a nadewszystko ceniono jego kazania. Wnet jednak zaczęło mu grozić wielkie niebezpieczeństwo. Ściągnął na siebie nienawiść Moskali tem, że miał podobno odmówić rozgrzeszenia jakiejś osobie, która chciała zawrzeć związek małżeński z prawosławnym. Gdyby nie osoby wpływowe u rządu, byłby z pewnością dostał się na Sybir. Chociaż to niebezpieczeństwo minęło szczęśliwie, policya moskiewska miała jednak odtąd wciąż na oku ks. Gąsiorowskiego. Toteż opuścił on niedługo potem Warszawę i przyjął posadę proboszcza w Zelechlinku, parafii liczącej 2.864 dusz. Zastał kościół w bardzo nędznym stanie i pozbawionym rzeczy najniezbędniejszych, jak mszałów itp. Jął się gorliwie pracy i wkrótce wystawił nowy kościół, a plebanię z gruntu odrestaurował. Następnie otrzymał probostwo w Dzierzbicach blizko Warszawy. I tutaj kościół przebudował w części i uporządkował, odmalował ściany i odnowił ołtarze. Sam w swej parafii pochłonięty pracą, musiał dojeżdżać jeszcze z nabożeństwami do sąsiedniej, osieroconej dla braku kapłanów w archidyecezyi. Wskutek takiego nadmiaru pracy zachorował wkrótce tak ciężko na oczy, że nie mógł spełniać obowiązków duszpasterskich. Toteż zrezygnował z beneficyum i przeniósł się do Częstochowy, gdzie przez dwa lata przemieszkał w klasztorze na Jasnej Górze. Ale i tu gorliwość jego nie dała mu wytchnąć; po całych dniach słuchał spowiedzi pątników przybywających do stóp cudownego obrazu.

Po dwu latach, w czerwcu 1888 r. przybył do domu księży Misyonarzy w Krakowie na Kleparzu. I tutaj zajaśniała pełnym blaskiem jego gorliwość w konfesyonale, a zwłaszcza na ambonie. Niedługo po przyjeździe danem mu było brać udział w pierwszem i najważniejszem dziele Misyonarzy, w misyach. W latach 1891—1893 odprawił wraz z innymi konfratrami cały szereg misyi w Galicyi, które po kilkoletniej przerwie właśnie na nowo odżyły [1]). Dawna choroba oczu zaczęła się jednak w tym samym czasie u ks. Gąsiorowskiego

---

[1]) Cfr. Roczniki z r. 1899, nr. 3, str. 173—194.



Ś. p. ks. Antoni Gąsiorowski.

(1839 — 1909).

ponawiać, przyłączyły się i inne cierpienia do tego. Toteż w r. 1893 pod jesień wysłał go śp. ks. wizytator Soubieille na wypoczynek do Biskupic koło Wieliczki. Pod czułą opieką swego brata, proboszcza w Biskupicach, ks. Leona Gąsiorowskiego, przyszedł nieco do sił. Skoro jednak uczuł się zdrowszym, nie mógł się obejść bez pracy; mawiał kazania, słuchał spowiedzi. A kiedy w Biskupicach zabrakło wikarego, bo ks. Pustelnika przeniesiono do Bierzanowa do pomocy schorzałemu proboszczowi, ks. Antoni pracował za wikaryusza, zwłaszcza przez cały czas wielkanocny słuchając spowiedzi. To mu ostatecznie podcięło zdrowie. Na oczy zaczął coraz bardziej zapadać, a na rok przed śmiercią zupełnie wzrok utracił i bardzo podupadł na zdrowiu. Ciężkie jednak cierpienia swoje znosił aż do końca z wielką cierpliwością, nigdy się nie użalając.

Pomimo tych wszystkich dolegliwości, chodził, acz z wielką trudnością, codzień do kościoła i odprawiał mszę św. *de Beata*. Na tydzień dopiero przed śmiercią nie mogąc już wstać z łóżka, kazał sobie codzień Komunię św. przynosić. Ojciec św. Pius X. przysłał mu telegraficznie błogosławieństwo, a w dzień Wszystkich Świętych odprawił na jego intencyę mszę św. o śmierć szczęśliwą. Jeszcze wieczorem w tym dniu rozmawiał ks. Antoni zupełnie przytomnie, dopiero na dziesięć minut przed śmiercią zamknął mowę na zawsze. Zmarł spokojnie dnia 1. listopada 1909 r.

Ś. p. Siostra Emma Steinsdorfer.

Świadectwo wydane o niej przez kilkoletniego jej profesora i spowiednika jest zarazem krótkim obrazem zachowania się jej, gdy jeszcze pozostawała w świecie, a sąd jego wówczas nie omylił się i w tem, czego się po niej spodziewał, gdy będzie w Zgromadzeniu. Oto co o niej pisze: „Nie tylko z szczególnem zamiłowaniem przykładała się do nauki religii,

ale także prowadziła życie nadzwyczaj cnotliwe i pobożne tak, że dla swoich koleżanek jak i innych uczennic naszego Zakładu, prawdziwem była zbudowaniem i przykładem. Skoro obecnie wstępuje do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, mam w Bogu nadzieję, że będzie tam szczerze i z całem poświęceniem Bogu służyć, ku prawdziwemu zadowoleniu swoich Przełożonych". Charakter jej jednak nie był łatwy, a następujące uwagi jednej z jej koleżanek z czasów szkolnych dają nam poznać, że wiele musiała z sobą walczyć, zwyciężać swoją skłonność do gniewu i niecierpliwości, ale dlatego tylko ta przemiana tak prędko nastąpiła, że była wierną łasce Bożej. Emma, późniejsza S. Joanna, miała w krótkim czasie przeżyć czasów wiele, to też w całem jej życiu przebija ten pośpiech, aby jak najwięcej zapracować na wieczność i z każdej chwili zasługę zebrać. Zanim jednak zaczniemy streszczać to jej życie pracy w Zgromadzeniu, przytoczymy wyżej wspomniane uwagi, które dają światło na działanie łaski Bożej w jej duszy, oraz jej gorliwe z tą łaską współpracowanie.

„Emma miała charakter trudny, wad dużo, co sprawiało, że w większości koleżanek nie budziła początkowo sympatyi. Na kilka jednak mniej więcej miesięcy przed zdaniem egzaminu wstępnego do seminaryum nauczycielskiego, nastąpił w jej duszy nagły zwrot do Boga, a zarazem stanowczy przełom w jej życiu. Z całą potęgą swej gorącej duszy, z zapałem, którym tylko wielka miłość Boża natchnąć może, wzięła się do trudnej pracy zwalczania siebie. Odtąd każdy dzień, każda niemal chwila była nowem zwycięstwem napiętnowana. Wady charakteru topniały jak wosk pod wpływem ognia Bożej miłości, co w tej duszy dotąd tak nieczułej na wpływy łaski nagle jasnym buchnął płomieniem. Wszyscy, co znali ją pierwej, ze zdziwieniem patrzeli na jej postępowanie, nie mogąc pojąć przyczyny tak nagłej zmiany. Lecz dobroć Boża zezwoliła, że nie wszystkie wady udało jej się w tak krótkim czasie przezwyciężyć, pozostała jej skłonność do gniewu, której mimo pracy nad sobą jeszcze czasem podlegała. Nieraz jej zbyt żywa odpowiedź gorszyła niektóre

towarzyszki, któreby chciały w osobie tak pobożnej, jak ją nazywały, widzieć samą tylko doskonałość, ale gdyby wiedziały jak tego chwilowego zapomnienia się później żałowała, ile łez wylała, z pewnością inaczejby o niej sądziły. Wada ta była jakby zasłoną ukrywającą przed oczyma ludzi całą piękność tej duszy wybranej. Dobroć Boża dozwoliła, by ta wada tak czasem widoczną była dla niej, by dać jej pole do zbierania zasług i ćwiczenia się w pokorze; nam zaś postępowanie Emmy pozostanie zawsze jasnym przykładem, z jak świetnem bohaterstwem zwyciężać się trzeba i jak wierną być łasce Bożej. Ta walka bezustanna z samą sobą, ten proces odbywający się w tej mężnej duszy, to strona najpiękniejsza jej życia w tym czasie. Nie dała się niczem zniechęcić, upadki jej nie zrażały, nie osłabiały w niej ducha, były tylko bodźcem, by z nową odwagą postępować naprzód. O jak ona się upokarzała! ile modłów gorących płynęło z jej duszy u stóp ołtarza, do tego cichego i pokornego Serca Jezusowego, w którem pokładała całą swą ufność. To też to Serce Boże nie mogło pozostać głuchem na takie błagania; tyle słodyczy spłynęło z Niego w jej duszę, że dokonała w krótkim czasie tego, czego dusza mniej gorąca nieraz po wielu latach życia Bogu poświęconego w jakiemś zgromadzeniu dokonać nie potrafi; zwyciężyła swą wadę do tego stopnia, że jak później będąc już Siostrą Miłosierdzia wyznała sama, nie doznała już żadnych nawet poruszeń niecierpliwości. A w zamian za tyle walk, tyle pracy, tak wielkiej ufności, wynagrodziło ją to Serce Najsłodsze prawdziwie po Bożemu i taką miłość dla Siebie w niej rozpaliło, że już ta tylko miłość ją trawiła i była jakby pokarmem ostatnich lat jej krótkiego życia. Oceniała ona te tak wielkie łaski, któremi ją Bóg obsypywał, to też wdzięczność jej dla Niego granic nie miała. Wysilała się, żeby okazać Mu ją na każdym kroku. Wdzięczność ta pobudzała ją do oddania Mu wszystkiego za wszystko, do poświęcenia odtąd swego życia już tylko na Jego chwałę; stąd obudziło się w niej prawie równocześnie ze zmianą życia powołanie do Sióstr Miłosierdzia i tylko

wola roztropnego kierownika sumienia wstrzymała ją jeszcze przez tak długie dla niej cztery lata od wykonania tego zamiaru. Nie mogąc więc odrazu ulżyć swemu gorącemu sercu, postanowiła innym sposobem przyczyniać się do chwały Bożej, zapragnęła zyskiwać mu dusze, a dusze koleżanek były szczególnym przedmiotem jej gorliwości. Nie zrażała się niczem, ani zimnem obejściem, ani dotkliwymi nieraz żartami, ani początkowo małym owocem swych usiłowań, to też i tu odniosła zwycięstwo. O, ile to dusz będzie kiedyś w niebie przez całe wieki błogosławić Boga za to, że ją poznały! Używała wszelkich sposobów, żeby pociągnąć je do Boga. Umiała zawsze tak zręcznie rozmowę skierować na swój ukochany przedmiot, a rozmowy takie mimowoli zmuszały nas do zastanowienia się nad sobą; zachęcała do uczęszczania do kościoła, do wpisywania się do najwięcej rozpowszechnionych i odpustami obdarzonych bractw, a miała taki sposób postępowania, że jej się prawie oprzeć nie można było i z uśmiechem przystawało się na to, czego żądała. Tym, z któremi ścislejsza łączyła ją przyjaźń, kupowała jako podarunki imieninowe pobożne książki, które im pozostawionym samym sobie wielką były pomocą na drodze cnoty. Gorliwość jej nie ograniczała się tylko na gronie współuczennic, zawierała znajomość z uczennicami innych kursów, a to tylko w tym celu, by je Bogu pozyskać. Potrafiła tak gorliwie chodzić koło spraw Bożych, że często, szczególnie przed większemi uroczystościami przyprowadzała cały regiment, według wyrażenia pewnej osoby, do spowiedzi, do której sama co tydzień przystępowała. Jedna z jej koleżanek, pociągniona jej wpływem do Boga, chciała prowadzić życie pobożniejsze niż dotąd, nie miała jednak wcale zamiaru dążyć do doskonałości. Raz gdy w poufnej rozmowie zwierzyła jej się z tego, Emma tonem pełnym zdziwienia zapytała: „Jakto, więc tybyś się chciała cofać?“ Te proste słowa, którym jednak towarzyszyła łaska, tak silne uczyniły wrażenie na umyśle tej duszy, że odtąd postęp w cnotach stał się jedynem jej pragnieniem. Takie słowa, tyle gorliwości, tak jasny przykład, tyle modlitw

gorących nie pozostało bez skutku. Zmieniały się dusze, innem okiem na świat patrzały, to też wkrótce nadzwyczaj miła atmosfera zapanowała w naszem kółku. Niktby nie posądził, patrząc na młode wesołe panienki, którym się świat zdawał uśmiechać, że one już nim wzgardziły, że Bóg lub nauka były głównym przedmiotem ich rozmów. Był zwyczaj w seminaryum, że kandydatki ubierały w klasach ołtarzyk, przed którym codziennie odmawiały litanię do Najśw. Dziewicy. Emma na naszym kursie idąc za pociągiem swego serca, zaprowadziła nowy, który nam wszystkim przypadał do gustu. Na miesiąc czerwiec stawiała figurę Serca P. Jezusa i znów w chwilach wolnych od nauki płynęła z dziesiątek serc gorąca modlitwa do tego ogniska miłości. Na czwartym kursie, gdy już pociąg do pobożności silniejsze zapuścił korzenie, przyjął się zwyczaj dotąd w szkołach publicznych zwłaszcza miejskich pewnie nie praktykowany: każda z nas wchodząc do klasy witała obecne chrześcijańskiem pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — a na ten widok Emma nie posiadała się z radości.

„Miała wielkie nabożeństwo do Najśw. Sakramentu. Gdybym, mówiła mi raz, przez stos rozpalony musiała dostawać się do Niego, z największą radością rzuciłabym się w ogień. To też w chwilach wolnych biegła do kościoła, a szczególniej ulubionym był jej kościółek św. Józefa, gdzie P. Jezus codziennie wystawiony, wyczekuje dusz wiernych, by zlewać na nie Swe łaski. Tu długie nieraz spędzała chwile, tu wypraszała hojne łaski dla siebie i dla drugich. W kościele na Gródku zawiązało się staraniem jednej z naszych koleżanek, obecnie Dominikanki, stowarzyszenie „Adoracyi Najśw. Sakramentu“. Emma była jedną z pierwszych, które się do niego wpisały, i w każdy pierwszy czwartek biegła tam wprost ze szkoły, by przed Bogiem utajonym wylewać swą gorącą duszę. Codziennie, pomimo długiego nieraz ślęczenia w nocy nad książką, bez względu na porę roku, wstawała wczas rano, by wysłuchać jednej lub kilku Mszy św., a często łączyła się tu ze swym Panem ukochanym w Komunii św., do której

przystępowała z budującą pobożnością. Już wtedy miała wielki pociąg do umartwień i tylko posłuszeństwo wstrzymywało jej zapał pod tym względem. Cierpieć cokolwiek dla Boga stało się jednem z jej najgorętszych pragnień. „Jakaś ty szczęśliwa, mówiła do jednej ze swych przyjaciółek, gdy ta zwierzyła się jej z przykrości, jakich doznawała w domu z powodu oznak pobożności, które w niej spostrzegano. Jakaś ty szczęśliwa, że możesz coś cierpieć dla Boga. Ja pod tym względem w domu nie mam żadnych trudności“. Będąc już Siostrą Miłosierdzia napisała mi na obrazku przedstawiającym Pana Jezusa dźwigającego krzyż wierszyk własnego utworu, w którym oddała żywo uczucia przepełniające jej serce szczególniej w następującym czterowierszu: „O Jezu drogi, z miłości Twej, niechciej odmawiać mi łaski tej: Daj mi o Jezu siłę i krzyż – i tak mą duszę do Siebie zbliż“. Dla Boga z ognia, dla siebie ze stali, dla nas była pełną miłości. Pierwszą była, gdy chodziło o jakieś poświęcenie, o jakąś ofiarę, a swoją uczynnością zjednywała sobie serca wszystkich. „Ta Emma naprawdę bardzo dobra“, mawiały nawet te koleżanki, których postępowanie względem niej mniej lub więcej pozostawiało do życzenia. Tak, dobrą była Emma, bo Bóg uszlachetniał coraz bardziej to serce, tak wierne Jego św. łasce.

Nareszcie zbliżała się chwila tak dla niej upragniona. Zdała maturę i już po trzech miesiącach wypoczynku mogła urzeczywistnić swoje marzenia. Mogła oddać się na wyłączną służbę Boga. Wszystkie jej listy z tego czasu, wszystkie rozmowy tchnęły tylko tem pragnieniem. Nakoniec nadszedł dzień oczekiwany, 7. października 1900, święto Matki Boskiej Różańcowej. Jeszcze rano pospieszyła do kościółka Miłosierdzia Bożego przeznaczonego na wspólne nabożeństwa uczenic seminaryum, w którym lat kilka nas budowała swą gorącą pobożnością, by tu po raz ostatni podziękować Bogu za łask tyle. Tego samego dnia przestąpiła furtę Domu Centralnego, by już przez resztę życia błogosławić imieniem, usty i czynami to nieskończone, niepojęte „miłosierdzie Boże“.

W seminaryum, które dla niej było rzeczywiście czasem próby i doświadczenia, zdrowie jej się nadwyrężyło i lekarz obawiał się, czy z tak słabemi siłami potrafi wydołać naszej pracy. Z drugiej zaś strony, dręczyła ją myśl, że nigdy nie zdoła osięgnąć doskonałości stanu swego; ceniła sobie bowiem tak wysoko powołanie Siostry Miłosierdzia, że wolałaby była je opuścić, niż mu nie odpowiedzieć należycie, o ile to tylko było w jej mocy.

Po wzięciu sukni, przeznaczoną została do Czortkowa, gdzie przez siedm lat pracowała w szkole chłopców. Posłano ją tam jako chorą, bezsilną, i to dlatego, że nie było innej Siostry na razie, lecz jak to słusznie uwagi przez jej Szanowną Siostrę Służebną stamtąd podane zaznaczają, „gorliwość“ o chwałę Bożą i poczucie obowiązków św. powołania kazały jej zapomnieć o sobie, a poświęcić się całkowicie swemu Oblubieńcowi, co też z całą sumiennością wypełniła, zostając na tem stanowisku, pomimo różnych trudności, nie zrażając się ani też zniechęcając niczem, owszem tem więcej przyczyniła sobie pracy i nic ją wstrzymać nie mogło, gdy widziała, że trzeba dla dobra Zgromadzenia lub domu zrobić z siebie ofiarę stosując się do woli przełożonych. Tak była pełną gorliwości i zapału do pracy, że trzeba ją było powstrzymywać pod posłuszeństwem z powodu, że ten nadmiar zajęcia mógł jej zdrowiu zaszkodzić.

Kiedy już mowa o pracy i poświęceniu, dodajmy jeszcze i to, co jest dość rzadkiem, a jednak wspólne życie i działanie tak bardzo ułatwia, że S. Joanna lubiła bardzo przychodzić z pomocą, gdzie tylko okazała się tego potrzeba lub S. Przełożona objawiła swe życzenie pod tym względem; w jakiemkolwiek zajęciu lub urzędzie, czy sama czy też z powierzonymi jej chłopcami, którzy mistrzynią swoją słuchali i szanowali. Bo też nieszczędziła ona czasu i trudu, aby ich kształcić i przysposobić od samej maleńkości do życia cnotliwego i pożytecznego społeczeństwu; gdy zaś widziała większe u którego zdolności, uczyła go osobno i uczyła się sama

w tym celu, aby módz przyjść z pomocą i ułatwić mu tę naukę.

Główną jej troską jednak było uświęcenie tych młodych serc i skierowanie ich do Boga. Wpoiła też w nich pobożność, którą sama była ożywiona i korzystała z każdej sposobności, aby ich skłonić do wdzięczności ku Bogu, który dając im schronienia w zakładzie, wyróżnił ich z pośród tylu innych biednych dzieci niemających opieki i wychowania chrześcijańskiego.

Lecz skąd w Siostrze, tak słabych sił na pozór, znalazło się tyle energii i gorliwości? Oto z gruntownej pobożności i akuratności w zachowaniu reguł czerpała S. Joanna siłę do wypełnienia swoich obowiązków. Nabożeństwo do Najśw. Serca P. Jezusa, do rozszerzenia którego nawet osobnym ślubem się zobowiązała, a które jak za czasów szkolnych tak również i teraz było jej pomocą i pociechą, nabożeństwo to wzrastało w niej prawie z dniem każdym. Działanie jej na zewnątrz, gorliwość o zbawienie dusz dzieci jakoteż i chorych znajdujących się w zakładzie, przy których ochotnie czuwała przysposabiając ich do dobrej śmierci, miało źródło swoje w tej miłości do P. Jezusa. Pilną też była w przestrzeganiu wszystkich zwyczajów seminaryjnych i wierności w małych rzeczach, a zawsze z tą myślą, że to wszystko dla Boga się czyni, bo jak mówiła: na cóż mam tracić łaski Boże, kiedy ich mogę zyskać więcej. Wielka obawa grzechu, obrazy Boga, przejmowała ją ciągle, dlatego często wzdychała za śmiercią tłómacząc się, że po śmierci już jest pewność, że Boga obrażać się nie będzie. Z tą myślą udawała się na spoczynek wyobrażając sobie, że kładzie się do trumny.

Począwszy od godz. 4. rano, bo zawsze, jak to wspominają Siostry, które z nią mieszkały, była wierną wstawaniu o tej porze, dzień jej cały podzielony był między modlitwę i pracę. Miała też zwyczaj idąc korytarzami, gdy spieszyła na ćwiczenia lub udając się do swojego urzędu, odprawiać w myśli stacye drogi krzyżowej i tak przez dzień cały rozpamiętywać mękę Pana Jezusa.

Często też przyjmowała Komunię św. duchownie, co jej służyło jako przygotowanie do Komunii sakramentalnej. Wielkie bowiem było jej nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, to było centrum wszystkich jej myśli, uczynków, a Siostry, które ją widziały odprawiającą adoracyę, gdy Pan Jezus był na ołtarzu wystawiony, lub modlącą się w czasie mszy św. i dziękczynienia, jednozgodnie mówią, że były zawsze bardzo zbudowane jej głębokiem skupieniem, które pochodziło z jej żywego przejęcia się obecnością P. Jezusa. Jedna z nich przytaczając to w uwagach swoich tak o tem wspomina: „Myślałam sobie, że ona najlepiej robi, zbiera sobie skarby nieba zawczasu, nie odkłada i nie spuszcza się na później“.

O posłuszeństwie jej pisze jej Siostra Służebna: „Uważałam, że była z wielkim szacunkiem i prawdziwie dziecięcem przywiązaniem dla Przełożonych i kierowała się duchem wiary i wdzięczności za udzielane przestrogi lub zalecenia“. To też, jak wspomina znów inna towarzyszka, ta gorliwość w posłuszeństwie sprawiała, że w tej chwili rzucała nawet najpilniejszy obowiązek, aby nie stracić zasługi posłuszeństwa; kwapiła się w każdej pracy, a choć nie miała umiejętności w wykonywaniu niektórych, wierzyła jednak, że jak to zrobi z posłuszeństwa, to ją Bóg pouczy. Chodziło jej o to, aby nawet myśli odgadywać i życzenia spełniać, tak Przełożonych jak i towarzyszek.

Gdy na konferencyi piątkowej dano jakie polecenie, można się było spodziewać, że prędko w czyn wejdzie, bo ona pierwsza była zachętą do wypełnienia onego. Gdy dano jakie upomnienie, siebie zawsze obwiniała, że to ona temu winna, że ona jest powodem i nie dała sobie tego w żaden sposób wytłómaczyć.

Wstrętne jej były ludzkie pochwały, tak że osobną nowennę do Ducha św. odprawiała i zachęcała drugie, aby się broniły przed pochwałami i aby Bóg dał tę łaskę, żeby nigdy żadnej pochwały nie usłyszeć.

I chętnie też unikała nowin światowych i osób świeckich, tłómacząc się, że z zetknięcia się z niemi nic się zyska.

Bardzo wierna w zachowaniu milczenia, co jej też ułatwiło nieustanną pamięć na obecność Boga, na rekreacyi była swobodna i wesoła, a poprzednio przygotowała sobie zawsze jaki przedmiot, aby podnieść cel reakcyi, iżby Bóg był w niej uwielbiony.

Wiele miała trudności do pokonania, łamiąc swój charakter, przyciszając swoją żywość. Oburzało ją to ogromnie, gdy widziała jakąś niesprawiedliwość, krzywdę wyrządzoną drugim, i śmiało stawała w ich obronie.

Dwa lata po uczynieniu św. ślubów, do których przygotowywała się z całą gorącością swego serca, jak wspominają uwagi Siostry Służebnej, przeniesioną została S. Joanna do szkoły św. Stanisława, a w kilka miesięcy po zdaniu egzaminu kwalifikacyjnego dotknięta chorobą przyszła spełniać wolę Bożą w infirmeryi. Jako podarek ślubny ofiarowała była P. Jezusowi wolę swoją prosząc Go, aby jej dał Swą własną. Tak jak to mówi św. Wincenty, że Bóg z upodobaniem skłania wolę Swoją do naszej, gdy ją chętnie spełniamy, tak i w tym wypadku, zaspokoił P. Jezus jej długoletnie pragnienie połączenia się z Nim na zawsze, w niemożności obrażania go więcej. Często tą myślą była zajęta, a gdy po zaopatrzeniu św. Sakramentami polecono jej jednak modlić się o zdrowie, czyniła to w duchu posłuszeństwa, ale z nadzieją, że pójdzie do Domu Pańskiego. Nie łudziła się też, jak to zwykle bywa u chorych tego rodzaju, że jeszcze do sił powróci; a gdy te niknęły pomału, cieszyła się, że koniec się zbliża.

Przy rozdawaniu obrazków na N. Rok dostało się jej Serce P. Jezusa, z którego wypływa źródło łask. Oddając ten obrazek towarzyszce w dzień śmierci, powiedziała: „Nie myślałam, że właśnie taką łaskę otrzymam w udziale, nie spodziewałam się wtedy, że mnie Pan Jezus takim prezentem obdarzy“.

Ufność, którą pokładała za życia w tem Boskiem Sercu, z pewnością nie zawiodła jej w chwili śmierci i stała się dla niej, według obietnicy danej Jego czcicielom, „bezpiecznem schronieniem w ostatniej godzinie“.

Zmarli Misyonarze:

1. Br. Antoni Gemayel, 11. grudnia (1909) w Bejrucie; żył lat 38, w Zgromadzeniu 16.
2. Ks. Franciszek Casado, 20. grudnia w Madrycie; żył lat 35 w Zgromadzeniu 15.
3. Ks. Józef Ronckier, w Wiktoryi (Brazylia), żył lat 35, w Zgrom. 15.
4. Ks. Jacek Barbier, 28. grudnia w Dax, żył lat 79; w Zgrom. 55.
5. Br. Paweł Santamaria, 29. grudnia w Villafranca (Hiszpania); żył lat 26; w Zgromadzeniu 8.
6. Ks. Piotr Bonner, 7. stycznia w Algierze, żył lat 80; w Zgrom. 52.
7. Br. Hermenegild Illera, 30. grudnia w Madrycie; żył lat 56; w Zgromadzeniu 30.
8. Ks. Franciszek Domenge, 12. stycznia w Marsylii, żył lat 42; w Zgromadzeniu 20.
9. Ks. Piotr Kuo, w styczniu w Szuen-tei-fu (Chiny), żył lat 69; w Zgromadzeniu 45.
10. K,s. Piotr Kreutzer, 28. stycznia w Theux, żył lat 83; w Zgrom. 56
11. Ks. Amat Bodin, 30. styczni.a w Paryżu, żył lat 81; w Zgrom. 54.
12. Ks. Wilhelm Beckmann, 30. stycznia w Theuxż, ył lat 77; w Zgromadzeniu 51
13. Br. Jan Defossa, 6. lutego w Berceau de St. Vincent de Paul (Francya), żył lat 47; w Zgromadzeniu 9.
14. Ks. arcyb. Franciszek Lesné, 11. luιego w Urmii (Persya), żył lat 63; w Zgromadzeniu 41.
15. Br. Franciszek Blume, w lutym w San José (Costarica), żył lat 68; w Zgromadzeniu 44.
16. Ks. Alfred Boucher, 20. lutego w Co-fu-pang (Chiny), żył lat 33; w Zgromadzeniu 11.
17. Ks. Hubert Moonen, 26. lutego w Pernambuco (Brazylia), żył lat 42; w Zgromadzeniu 20.
18. Ks. Patryk Judge, 1. marca w Nowym Orleanie (Stany Zjednoczone), żył lat 54; w Zgromadzeniu 29.
19. Ks. Jan Hannon, 6. marca w Dublinie, żył lat 59; w Zgrom. 32.
20. Ks. Jan Lemak, 5. marca w Schwarzach (Austrya), żył lat 55; w Zgromadzeniu 30.

Siostry Miłosierdzia

z prowincyi krakowskiej:

1. S. Justyna Branicka, w Domu Centralnym, 4. lutego, żyła lat 80; w Zgromadzeniu 48.
2. S. Emilia Siwicka, w Domu Centralnym, 14. lutego, żyła lat 70; w Zgromadzeniu 44.
3. S. Józefa Koślacz, w Tarnowie w szpitalu, 14. marca, żyła lat 35; w Zgromadzeniu 11.



SKARB DUSZY

Jest to książeczka do modlitwy dla młodzieży, zawierająca mnóstwo najpotrzebniejszych modlitw i nabożeństw. — Polecamy ją gorąco dla młodzieży naszych zakładów.

Cena egzemplarza ozdobnie oprawnego Kor. 1·40, opraw. w płótno 80 hal.

Tensam modlitewnik z osobnym wstępem i dodatkiem pod napisem:

PRZEWODNIK SODALICYI MARYAŃSKIEJ.

Cena egzemplarza ozdobnie oprawnego 1·50 Kor. (1·50 Mk.); oprawnego w płótno 1 Kor. (1 Mk.).

NAŚLADOWANIE JEZUSA CHRYSTUSA

Tomasza a Kempis

z cennemi uwagami do każdego rozdziału, które pomagają do rozwinięcia w rozmyślaniu myśli zawartych w złotej książce Tomasza a Kempis.

Broszur. 1 Kor. (1 mar.), opr. 1·50 Kor. (1·50 mar.).

MIESIĄC CZERWIEC

poświęcony czci Najsłodszego Serca Pana Jezusa

przez X. Ulaneckiego.

Książeczkę tę bardzo polecamy tak wiernym jak kapłanom, pragnącym pouczyć lud o czci dla Najsł. Serca P. Jezusa, jak je wielbić modlitwą myślną i ustną oraz praktycznem zastosowaniem w życiu.

Opr. 1 Kor. (1 mar.).

PRZEWODNIK GRZESZNIKÓW.

Książka do poważnego czytania, o której Papież Grzegorz XIII. powiedział, że autor, ogłaszając to dzieło, więcej przyniósł pożytku Kościołowi św., aniżeli gdyby był przywrócił wzrok ślepym i słuch głuchym; a inny Papież, że księga ta więcej dusz pozyskała Jezusowi, niż obejmuje liter.

Opr. 3 Kor. 20 hal. (3 mar.).

Kraków – Drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.